CAGLIOSTRO W WARSZAWIE.

Każdy wiek ma swoich awanturników i szarlatanów, którzy stosowną do panującéj myśli lub mody przybierają barwę. Wiek ośmnasty podkopawszy wiarę religijną, dostarczył takich ludzi jak Saint-Germain, Cagliostro, Mesmer, przypisujących sobie potęgę wywoływania duchów osób zmarłych, odmładzania się, przedłużania życia, leczenia wszelkich chorób za pomocą kamienia filozoficznego, posiadającego wielce pożądany przymiot zamieniania każdego kruszcu na złoto. W naszym wieku szarlatan, przybrał charakter zbawiciela ludzkości i pod tym szerokim płaszczem spekuluje, wzywając do pomocy nie już wyższych lub niższych duchów, lecz zwykle czwartéj stronnicy gazet, gdzie szumnemi obwieszczeniami rokującemi ogromne zyski, lub zbawienne kordjały i leki, łapie łatwowiernych. Zdaje się że każdy szarlatan, mniéj więcéj znawca ludzi, całą swoją grę opiera na owém łacińskiém zdaniu: *Vulgus vult decipi, ergo decipiatur*: chcecie być oszukiwani? więc będę oszukiwał; wiem że to was bawi, bawcie się, tylko płaćcie mi za koncepta. I czy to wyższego czy niższego rzędu szarlatan, zawsze do jednego zmierza celu. Ten ubrany w sławę swéj nadzwyczajności wdziera się do pokojów monarszych i na salony, gdzie zaszczyca się możną protekcją i czerpie bogate upominki, udając dumną bezinteresowność, ów mydli oczy na placach publicznych i wyciąga grosz rzeszy zbiorowéj. Najciekawszą w tém wszystkiém, jest strona téj formy złudzenia, która obudza nieraz fanatyczną wiarę, aż do zyskania zagorzałych admiratorów i adeptów; a tą bywa zwykle coś niewiadomego, mistycznego, trącającego o cudowność. Nigdy gołe prawdy, ściśle praktyczne i rozumne, nietrafiają tak do umysłów pospólstwa, jak tajemniczość wprawiająca w grę wyobraźnię; umiejętność prawdziwa, jasne postawienie rzeczy niepociąga tyle, co fałsz ustrojony w piórka nauki, lub intryga przyodziana w mistyczną szatę. W średnich wiekach astrologi, chiromanci, czarnoksiężnicy, działali z pewną wiarą w swoje sekreta, formuły i zaklęcia; w ośmnastym odegrzano tylko stare formuły i użyto je do interesownych celów, a niekiedy zastoso-



CAGLIOSTRO
rysował Tegazzo ze zbioru portretów słynnych ludzi z końca XVIII. wieku *).

*) Ten wizerunek równie jak i dany poprzednio portret Konstancji z Czartoryskich Poniatowskiéj, rytowany jest przez zbyt wcześnie zgasłą Kamillę Gerson, młodą małżonkę znanego naszego artysty.

wywano do filozoficznych przewrotów społeczeństwa, jak tego mamy przykład na sławnym Cagliostrze, który przez lat kilkanaście durzył świat, objeżdżając wszystkie stolice Europy, a nawet zawadzając o Warszawę, gdzie na nieszczęście niebardzo powiodły się jego eksperymenta, co zresztą wcale pochlebnie świadczy o rozumie osób stykających się z nim bezpośrednio.

Zanim opowiem warszawską przygodę tego awanturnika, chciałbym kilka słów o nim samym powiedzieć, trzymając się poszukiwań późniéj zrobionych nad tym tajemniczym człowiekiem, który dostawszy się w ręce władz rzymskich, wyspowiadał się ze swoich sztuczek i dostarczył wątku do sprawdzenia takowych.

Właściwe jego nazwisko było Józef Balsamo, rodzinném miastem Palermo, gdzie przyszedł na świat w 1743 r. W dzieciństwie straciwszy rodziców, oddany był na wychowanie do klasztoru, gdzie braciszek farmaceuta sposobił go wcześnie do tego rzemiosła. Liznąwszy cokolwiek chemji i botaniki, uciekł z konwentu i wałęsając się zabrał znajomość z jakąś szajką graczy, u których wyuczył się zapewne biegłości w palcach i rozmaitych oszustw. Kilka razy łapany i więziony, niemiał co dłużéj popasać w Sycylji; jakoż porzucił niewdzięczną ojczyznę i z pewnym ormianinem nazwiskiem Altotas, puścił się w podróż po wschodzie. Zdaje się być rzeczą niewątpliwą, że czy w towarzystwie owego Altotasa, który wygląda na zagadkową figurę, czy téż z kim innym, spodróżował on cały archipelag, brzegi Grecji, nareszcie Egipt, zkąd znaczne wywieźli pieniądze, wybijając na materjach jedwabnych złote desenie naśladujące hafty, co dla taniości swojéj, musiało mieć niemały odbyt.

Niewiem czy jeszcze jakie inne rzemiosło praktykowali nasi podróżni w Egipcie, dość że z dobrze naładowanym workiem przybyli do Malty, gdzie ówczesnego mistrza kawalerów maltańskich Pinto, potrafili wyprowadzić w pole, że na ich usługi dom swój oddał i jako miłośnik alchemji razem z nimi szukał kamienia filozoficznego. Od téj chwili Altotas gdzieś znika ze sceny. Niektórzy badacze tego steku awantur, domyślają się że owym Altotasem był niemiec Kolmer, który z Malty, przybył do krajów Rzeszy niemieckiéj i tam rzucił pierwsze zawiązki znanéj sekty Illuminatów. Balsamo działający odtąd na własną rękę pojawił się znowu w Neapolu, Florencji, w Rzymie, gdzie stosownie do okoliczności przybierał różne nazwiska hrabi Herat, margrabiego Anna, Belmonte, Pellegrini. W ostatniém tém mieście udało mu się podbić serce, a raczéj znaleźć wspólniczkę swoich obrotów, śliczną kobietę, córkę jakiegoś bronzownika, nazwiskiem Lorencę, a raczéj Serafinę Felicjani, która późniéj wdziękami swemi bardzo wiele dopomogła mu do zamanienia łatwowiernych, chociaż i jemu samemu niezbywało na tym talencie. Fizjonomja jego odrazu zwracała na siebie uwagę, wyrażała bowiem dowcip, pozwalała nawet domyślać się jeniuszu, tryskającego z głęboko osadzonych ócz, przenikających do wnętrza duszy. Sam Lawater, zawołany fizjonomista, miał go za człowieka będącego w najściślejszych stosunkach z Lucyperem i dla tego naiwny niemiec dobywał najwyszukańszych argumentów, aby go od téj spółki odciągnąć.

Cagliostro w towarzystwie pięknéj Felicjani kręcił się jeszcze po Hiszpanji, po Anglji, zawadził o Francję, Holandję, Niemcy, gdzie jak utrzymują, wszedł w stosunki ze znaczniejszemi figurami sekty massońskiéj i został niejako komiwojażerem sekty Illuminatów i *ścisłéj obserwancji*, która chcąc swój cel osłonić, przyjęła pewne tradycje i reguły po Templarjuszach i udawała się powołaną do pomszczenia zniewagi, zadanéj temu zakonowi przez Filipa Pięknego. Nieulega najmniéjszéj wątpliwości, że powodzenia tego awanturnika nietylko w saméj łatwowierności ludzkiéj miały swoją przyczynę; jako emisarjusz sekt massońskich wszędzie robił adeptów i zakładał loże, a dla pokrycia swoich czynności mogących go u władz narazić, uczył robić złoto, wynajdywał leki na nieśmiertelność i cienie nieboszczyków pokazywał żyjącym. Z Niemiec, gdzie ryb dużo nałowił, puścił się do Kurlandji, a potém do Petersburga; lecz o ile w ostatniém tém mieście nie zrobił dobrych interesów, o tyle w Mitawie, na dworze księcia kurlandz-

kiego niesłychane sprawił wrażenie, osobliwie na pannie Elizie von der Recke, siostrze, czy kuzynie księżny kurlandzkiéj, egzaltowanéj *bas-bleu*, która nietylko że napisała książkę o tym nadzwyczajnym człowieku, ale chciała wszędzie mu towarzyszyć w awanturniczych wycieczkach. Co przeszkodziło temu chwalebnemu zamiarowi, nieumiem powiedzieć, to jednak pewno że wspólnictwo wielkiéj damy, mówiącéj uczonym językiem, a do tego nieudanej admiratorki *Wielkiego Kofty*, mogło ogromnie sprzyjać widokom awanturnika.

Z Mitawy, poprzedzony ogromną sławą alchemika, wywoływacza duchów, czarodzieja, zgoła nadzwyczajnego jenjuszu, przyjechał hrabia Cagliostro do Warszawy pierwszych dni Maja r. 1780. Pewien młody kawaler z którym poznajomił się był dawniéj w Medjolanie, kawaler dobrze znany w stolicy, przedstawił go księciu Poniatowskiemu podkomorzemu koronnemu i hrabi Fryderykowi Moszyńskiemu. Cagliostro przy pierwszém poznaniu się, umiał przedać się tym panom za mistrza wyćwiczonego w egipskiém wolnomularstwie, przyczém nieomieszkał zapewnić ich, że będąc wielbicielem polskiego narodu, udzieli im niejednéj ciekawéj tajemnicy, z mnóstwa tajemnic jakie posiada i to bez żadnéj pretensji. Zainteresowało to księcia podkomorzego tém mocniéj, że jako wielbiciela płci pięknéj, wdzięki donny Serafiny musiały usposobić go do prawdziwie staropolskiéj gościnności, kiedy téj parze awanturników dał mieszkanie i wszelkie wygody we własnym pałacu; do tego kroku pobudził go zapewne i szlachetny wzgląd na dość skromną powierzchowność małżonków, ile się zdawało wojażujących z bardzo lekkim pakunkiem...,

Po kilku dniach, poświęconych wypoczynkowi po trudach podróży, oświadczył Cagliostro, że chciałby dać kilka próbek swoich magiczno-filozoficznych operacji, co ma się rozumieć, z wielkim aplauzem księcia podkomorzego i jego kompanji przyjętém było. Tymczasem starał się on zawiązywać znajomości ze znakomitościami stolicy, co mu szło nader łatwo, bo zręczny i wygadany włoch, umiał każdego pochwycić z właściwéj mu czy to słabéj, czy mocnéj strony. Nawzajem donna Serafina przyciągająca magnesem swych wdzięków, z równą zręcznością robiła mężowskie interesa, rozpowiadając niesłychane dziwy o jego cudownych sztukach i tajemnicach wykradzionych magom egipskim. Niejedna też ciekawość i próżność podłechtana, pragnęła choćby największym kosztem dostać się do tych tajemnic. Oprócz komplementów i umizgów do pięknéj donny, na które okazywała się dość obojętną, zaczęły się sypać rozmaite prezenciki i suweniry, mające ułatwić przypuszczenie adeptów i admiratorów Wielkiego Kofty do jego osoby.... O dotarcie zaś do samych tajemnic, trzeba się było układać i nieraz zdobywać się na prezent wartości kilku tysięcy czerwonych złotych. Tymczasem hrabia Cagliostro w stosunkach z pierwszemi figurami stolicy, mógł zawsze odgrywać rolę mędrca, otwierającego skarbce swoich tajemnic, z zupełną bezinteresownością, co wielką jednało mu wziętość i budziło wiarę, jakiéj pospolity kuglarz pokazujący się za pieniądze nie wzbudza.

Osoby przypuszczone do poufalszego towarzystwa księcia podkomorzego, niecierpliwie czekały na ową pierwszą próbę magiczno-filozoficznéj operacji.

Nadszedł nareszcie dzień upragniony. Na wieczór zebrało się grono gości przypuszczonych do tajemnicy w pałacu księcia podkomorzego.

Cagliostro kazał zawiesić czarną oponę we drzwiach prowadzących ze sali do bocznego pokoju, na obecnych osobach wymógł zaręczenie pod słowem honoru że dochowają ścisłéj tajemnicy, poczém wszczął rozmowę o swoich podróżach, o rozmaitych experymentach co do zamiany podłych metali na złoto, o elixirze dającym życie nieśmiertelne i o duchach wielkich mężów starożytności, wywoływanych mocą zaklęć kabalistycznych. Rozmowa ta nastrajała umysły do spotkania się z jakąś nadzwyczajnością......

Na tym wstępie skończyło się to posiedzenie. Jaki taki wlepiał oczy w czarne sukno ale nic na niém, ani po za niém nie pokazało się.

W trzy dni dopiero, zeszli się znowu ci sami goście. Cagliostro nastroiwszy uro-

czystą minę, wszedł trzymając ośmioletnią dziewczynkę za rękę i wprowadził ją do pokoju zasłoniętego czarną oponą, gdzie olejkiem natarł jéj dłoń i robił jakieś *hocus pocus* z dobytą szpadą i arabską książką... poczém przeszedłszy do ogólnéj sali zaczął zadawać jéj pytania przez drzwi na pół uchylone.

— Czy widzisz anioła?

— Widzę.

— Czy widzisz dwóch aniołów?

— Widzę dwóch.

— Czy niewidzisz trzech.

— Widzę. I tak doszło do siedmiu.

— A mnie czy widzisz?

— Widzę.

— Czy widzisz jaki grób?

— Widzę.

— Jest-li on kamienny, czy marmurowy?

— Kamienny.

— Pocałuj anioła....

I usłyszano jak dziewczyna pocałowała kogoś, zapewne własną rękę. Tym sposobem zadał wiele jeszcze pytań w tym rodzaju; co jednak niebardzo zbudowało widzów téj sceny.

Drugi figiel również niebardzo zaimponował. Prosił on obecnych, aby spisali swoje nazwiska na świstku papieru, poczém świstek ten spalił w oczach widzów, a dziewczynce rozkazał podnieść papier jaki u nóg jéj spadnie. Po chwili wystawił rękę do gabinetu gdzie była dziewczynka i odebrał od niéj karteczkę zapieczętowaną lichą massońską pieczątką.

— Mości panowie, przemówił Cagliostro zwracając się do gości—jest to znak, że duchy potwierdzają wybór osób przypuszczonych do tego dzieła; gdy zaś karteczkę odpieczętowano, każdy znalazł napisane w niéj własne swoje nazwisko.

Sztuczka ta przypominająca najpospolitsze kuglarstwa takiego Comusa, Filadelfji i innych znanych kuglarzów, wzbudziła w uważnie przypatrującym się hrabi Moszyńskim podejrzenie, że natychmiast wziął księcia podkomorzego na stronę i wręcz mu oświadczył, że włoch bawi się kosztem ich łatwowierności. Lęcz książe podkomorzy niedał sobie nic mówić, utrzymując że to tylko próba, która mogła się nieudać, ale że nadzwyczajnych rzeczy spodziewa się po człowieku tak nadzwyczajnym.

Cagliostro bystry obserwator, odrazu postrzegł że się coś przeciw niemu knuje, bo natychmiast niepowodzenie operacji przypisał niezdatności owego *medium*, czyli ośmioletniéj dziewczynki. Na drugi raz wziął panienkę szesnastoletnią, która miała być ekstraktem saméj niewinności i ta miała mu służyć za *medium*. Przystąpiono zatem do operacji, ale z daleko większemi przygotowaniami i okazałością niż pierwszym razem. Operacja się téż udała i takie złudzenie sprawiła na widzach, że nawet sam hrabia Moszyński, uchodzący za niedowiarka, a wierzący w prostoduszność owéj panienki którą znał dobrze, został uderzony nadzwyczajnością okazanéj próby.

Minęło kilka dni i nikt nieśmiał powątpiewać o potędze czarodzieja. Aleć na nieszczęście Cagliostro zaczął koperczaki stroić do panny i coraz stawać się natarczywszym w miłosnych oświadczeniach, czém tak rozgniewał dziewczynę, że ta wprost przybiegła do hr. Moszyńskiego i odkryła mu całą intrygę. Opowiedziała ona jako Cagliostro obiecał zrobić jéj szczęście i znaleźć jéj ładnego i bogatego chłopca na męża, aby tylko skłoniła się do odegrania z nim komedji. Jakoż wszystkich odpowiedzi na jego pytania wyuczyła się na pamięć; zamiast anioła siebie całowała w rękę, a żadnego ducha niewidziała, nawet pomimo najlepszéj intencji ujrzenia go.

Wszystkie te szczegóły opowiedział hrabia swoim znajomym, ale nietylko nikt mu niewierzył, lecz owszem szydził z jego niedowiarstwa.

Gdy się to działo, Cagliostro dla zabawienia swoich wielbicieli, otworzył tak zwaną *egipską lożę* i publicznie dyktował niektóre drobne *arcana*, uznane dawno za fałszywe, lub należące do chemji elementarnéj. Dla adeptów swoich otworzył także kurs medycyny, zapełniony wyrzekaniami na doktorów, toż medycznym sprzecznościami zupełnie jak w szkole salernitańskiéj i receptami na różne choroby do których wchodziły całkiem nieznane nam ingredjencje, lub téż wyjęte z dzieł Fryderyka Gualdo alchemika siedmnastego wieku.

Mimo całego powodzenia w gronie swoich adeptów, utrzymywał Cagliostro że w mieście niepodobna mu nic zrobić, że potrzebuje zacisznego schronienia. Jakoż całe towarzystwo chcąc mu dogodzić przeniosło się do pałacyku na Woli, zabierając ze sobą Cagliostra, mającego tam rozpocząć wielką robotę *filozoficznego złota.*

Hrabia Fryderyk Moszyński lubiący uprawiać ścisłe umiejętności, a mianowicie chemję, któréj odkrycia śledził, aby stać na wysokości téj nauki, będącéj w przedjutrze nowego systematu Lavoisiera, tworzącego nowy w niéj okres, kwalifikował się na wyśmienitego pomocnika w laboratorium, a razem i na kontrolera téj roboty, do czego jak się zdaje, miał upoważnienie od króla.

Mamy przed sobą dzienniczek prowadzony przez hrabiego od dnia 7 Czerwca 1780 r. do 27go tegoż miesiąca, gdzie najdokładniéj są zapisane i krytycznie zbijane, wszystkie chemiczne operaty wykonywane przez Cagliostra, lub z jego rozkazu. Nie będę czytelników nudził przytaczaniem ustępów opisujących robotę filozoficznego złota, przy któréj nieobeszło się bez zręcznego usuwania tyglów i zamieniania merkurjuszu na bryłkę srebra.

Dość że ze smażeniny merkurjuszu, otrzymano trzydziesto-łutową bryłę srebra z ziarnkami złota, co mistrz nazwał pompatycznie *filozoficzném złotem;* lecz nie koniec na tém, trzeba jeszcze było spiłować je na proszek, nalać serwaserem i nad ogniem lampy trzymać, aby wszelką wilgoć wyparować. Czynność tę nazwał pierwszym *passażem.* Takich *passażów* miało być ośm. Siódmy miał wydać czerwony proszek, za pomocą którego merkurjusz odrazu zamieniał się w srebro. Produkt zaś ósmego *passażu,* zamieniał merkurjusz w najczystsze złoto.... Każda ta operacja, jak mówił, potrzebowała do sześciu tygodni czasu.

W ciągu tym gdy złoto będące w pierwszym *passażu,* smażyło się nad lampą, chciał Cagliostro natchnąć jednego z nowych adeptów silniejszą wiarą w swoją potęgę, i tym sposobem wywołał ducha Wielkiego Kofty, żyjącego przed tysiącem lat. Kofta ten rzeczywiście pokazał się, był otyły, w białych szatach, z białym włosem i w wielkim turbanie na głowie. Gdy zaś ów Wielki Kofta zapytał swego adepta, co widzi? Ten odrzekł w sposób bardzo naiwny: że widzi jak sam Cagliostro przebrał się w białą maskę z długą brodą. Odpowiedź ta niebardzo przypadła egipskiemu arcykapłanowi do smaku, bo zdmuchnął zaraz dwie świece i słychać było w ciemności jak z niego spadał biały pudermantel i reszta ubrania, aby zapewne lżéj mu było wracać do Egiptu.....

Różne te niepowodzenia przypisywał Cagliostro najwięcéj Moszyńskiemu, który jeden nietracił głowy śród ogólnego entuzjazmu i dla tego w oburzeniu swojém nazwał go kilkakrotnie *sacrilège* i *monstre.* Hrabia śmiał się z epitetów, lecz szarlatana niespuszczał z oka. Zdarzyło się raz, że Moszyński czuwający nad owém *jajem filozoficzném* które smażyło się nad lampą, przelał był ingredjencję znajdującą się w małéj flaszeczce, we flaszeczkę większą. Dostrzegł tego Cagliostro, zwołał cały areopag i narobił gwałtu, dowodząc że ten, (Moszyński) co niedawno wydrwiwał jego dzieło, teraz widocznie przywłaszczył sobie cząstkę nieocenionego płynu, aby na swoją rękę robić złoto. Wszyscy obecni ujrzawszy zmniejszoną ilość płynu, przekonali się, że mistrz ma słuszność pomawiać Moszyńskiego o nieprzychylne zamiary i daléjże piorunować przeciw niemu, ale Cagliostro uniesiony wspaniałością właściwą jeniuszom, zapewnił ich, że potrafi zapobiedz temu nieszczęściu i tak zrobi, że *Monstrum* żadnéj korzyści nieodniesie z owego płynu. W podobny sposób znalazł się raz sławny szarlatan hrabia St Germain, bo gdy kamerdyner ukradł mu był receptę na cudowny proszek i chciał podług niéj leczyć, hrabia odrzekł najspokojniéj: Już ja tak zrobię że w rękach tego hultaja recepta straci swą dzielność. Uczniowie Cagliostra przeświadczeni jawném zniknieniem części płynu rozumowali sobie, że Moszyński będąc zawołanym chemikiem, pewnieby niebrał jednéj trzeciéj części téj drogiéj materji, gdyby niebyła coś wartą. Widocznie ma on w tém własny interes że ciągle osłabia wiarę naszą w mistrza i dołki pod nim kopie. Trzeba udać się do króla i otworzyć mu oczy, bo raporta Mo-

szyńskiego musiały mu w najgorszém świetle wystawić mistrza. Raz obaliwszy jego powagę, zainteresujemy króla jegomości dla *wielkiego dzieła.*

W rzeczy saméj zrazu chciano wciągnąć króla Stanisława Augusta w te kuglarstwa, ale światły i przezorny monarcha polecił był Moszyńskiemu jako biegłemu chemikowi, zdawać sobie raporta z tych wszystkich operacji.

Niedługo jednak trwała ta zawziętość adeptów przeciw Moszyńskiemu, który przyjechawszy na Wolę około wieczora, a opadnięty wyrzutami z powodu ujęcia drogocennego płynu, najspokojniéj odpowiedział, że płyn zawarty w małéj flaszeczce, przelany w trzy razy większą niemoże jéj napełnić. Adepci donieśli o tém mistrzowi, ale ten nietracąc głowy, upierał się przy swojém, jako owa flaszeczka była tajemniczém naczyniem, niemogącém być zastąpioném przez inne sprofanowane.

Różne te okoliczności bardzo zachwiały wiarę adeptów, pomiarkował to *Wielki Kofta* i zebrawszy mniéj niedowierzających, oświadczył że widząc zmianę w ich umysłach, pragnie dowieść czém jest. Jakoż obiecał im nazajutrz pokazać operację z dzieckiem umiejącém tylko polski język; następnie o północy pójść z nimi do ogrodu w pewnéj odległości od pałacu, żeby na grzmot, jaki usłyszą, niepowylatywały wszystkie szyby; a wtedy zobaczą takie dziwy o jakich się im ani śniło. Następnie pięćdziesiąt funtów merkurjuszu zamieni na czyste srebro i odda je na ubogich stolicy; nareszcie zrobi jeszcze jedną operację, która całą Warszawę zdumieniem napełni i dopiero odjedzie za granicę zostawując Polskę w rozpaczy, że już go więcéj nie ujrzy.

Przerażona trzoda adeptów przyszła opowiedzieć to Moszyńskiemu, który z tego programu zaraz zmiarkował, że mistrz obawia się ogólnéj burzy przeciw sobie. Ów grzmot zapowiedziany będzie zapewne zwykłą petardą, która obecnych zagłuszy i oćmi, a Wielki Kofta tymczasem dosiędzie ognistego smoka i z djamentami drapnie przez powietrze.

Widać że przestroga skutek odniosła; gdyż pamiętnik pod datą 26 Czerwca tak się wyraża:

„Nie ma go! Drapnął bez oporu własnych adeptów! Wprawdzie jednemu z nich polecił czuwać nad lampą i jajem filozoficzném, ręcząc słowem, że niezadługo przyszle szczyptę proszku, na dowód że nie jest żadnym oszustem. Inni adepci byli tak okrutni że nieposzli go żegnać kiedy wsiadał do powozu. Znikł im z oczu jak kamfora i pewnie że go nigdy niezobaczą, w czém się proroctwo jego spełni.“

Tak tedy skończyła się rola sławnego szarlatana w Polsce. Wyjechawszy dnia 26 Czerwca pod jakimś pozorem z Woli do Warszawy, uszedł ztamtąd w nocy 27 Czerwca i zapewne niebyłby się tak gładko wywinął, gdyby osoby, które w ten sposób wystrychnął, niewolały na łatwowierność swoją rzucić zasłony zapomnienia i w cichości pokutować, zamiast oszusta do odpowiedzi pociągnąć. Jednakowoż niektórzy obrażeni tém postępowaniem, mieli domagać się u pani hrabiny Cagliostro, zwrotu niektórych djamentów ofiarowanych jéj dla pozyskania względów pana małżonka. Powiadają że zaraz po przybyciu do Warszawy dał jéj jeden entuzyasta parę brylantowych kolców i innych klejnotów w wartości 2,500 czerwonych złotych, a cała ta awantura miała kosztować interesowane osoby około ośm tysięcy dukatów. Część jednak odebrano, reszta przy oszustach została.

Tak tedy Warszawie należy się zaszczyt demaskowania szarlatana; co jednak niebyło przestrogą dla innych krajów. W parę bowiem miesięcy zjawia się Cagliostro w Strazburgu; zawięzuje znajomość z kardynałem Rohanem i znajomość ta służy mu do odgrywania głośnéj roli w Paryżu i do wplątania się w sławną awanturę z naszyjnikiem, jaki kardynał Rohan kupił dla ofiarowania go nieszczęśliwéj Marji-Antoninie królowéj francuzkiéj.

Po głównym procesie o ów naszyjnik, Cagliostro wypędzony z Francji udał się do Londynu, ztamtąd do Szwajcarji, następnie do Włoch. Przybywszy do Rzymu w 1789 znalazł kres swoich intryg. Are-

sztowany z rozkazu sądów inkwizytorskich, miał sobie wytoczony proces jako *illuminat* i *farmazon*. Za należenie do tajnych związków była wówczas kara śmierci; lecz karę tę zamieniono dlań na wieczne więzienie w zamku San-Leo, gdzie umarł w r. 1795.

W parę lat po jego śmierci oddział legji pod Dąbrowskim wysłany był na wzięcie szturmem tego zamku; lecz załoga papiezka widząc dzielnie idącego żołnierza, po dwugodzinnym oporze, kapitulowała. Szef Drzewiecki znajdujący się między szturmującymi, opowiada w pamiętnikach swoich że zwiedzał celę więzienną Cagliostra, któréj ściany okryte były rysunkami; „lecz nadzwyczajne postacie, koła i gwiazdy, napisy nawet, nic go niemogły nauczyć.“

Pokazuje się, że Cagliostro do samėj śmierci dotrwał w swéj roli, która mogła tumanić, nieucząc nikogo.

Lucjan Siemieński.

NAD RENEM I NAD WISŁĄ.

OPOWIADANIE Z UBIEGŁYCH WIEKÓW.

Pod koniec czternastego stulecia, na skalnéj opoce u stóp któréj Ren toczył szumiące fale, wśród ponurego wieńca ciemnych jodłowych lasów, stał w groźnéj powadze rycerski zamek, gniazdo możnéj niegdyś Mondsternów rodziny. Zamieszkiwał w nim siwowłosy starzec i młodziuchna sierota. Piękna Adela była jedyném dziecięciem przedwcześnie zmarłego syna kasztelana; otaczała starca pełną czci miłością, a jednakże nigdy nie rozjaśnił on czoła i jedynie pieśń Gerwarda starego minstrela, wyrywała go niekiedy z tęsknéj zadumy w któréj był pogrążony. Śpiew ten, opiewający dawne rycerskie dzieje, przywodził na pamięć kasztelanowi i opłakiwaną przezeń przeszłość i wywierał niekiedy wpływ prawie czarodziejski. Nieraz gdy struny lutni zabrzmiały weselem, zrywał się i biegł do okna jakby na powitanie świetnego pocztu towarzyszy broni; próżne złudzenie większą jeszcze potém wywoływało tęschnotę, bo dziedzińce zamku od dawna porosły w trawę i dzikie chwasty, gdyż nikt nie odwiedzał starego samotnika. Niegdyś brzmiało tu inne życie, a odgłos biesiad wesołych, odzywał się dalekiém echem wśród sąsiednich gór. Dwaj dorodni młodzieńce i dziewica piękna jak wiosenny poranek, ożywiali wtedy ponure schronienie starca i sieroty. Młodzieńce byli synami kasztelana, dziewica zaś córką jego przyjaciela i towarzysza broni, wychowana z niemi pospołu od śmierci własnych rodziców. Cicha i słodka jak anioł pokoju pani zamku, towarzyszka dozgonna ziemskiéj pielgrzymki starego rycerza, otaczała wszystkich mieszkańców Mondsternu swą miłością i pieczą baczną a pilną. Zaludnion był téż w on czas licznie gmach odwieczny; po wielkich sklepionych izbach uwijały się roje wiernych lenników i służby, a na dziedzińcach nieraz musiano zastawiać stoły dla gości, których zamek pomieścić nie mógł. Jan starszy z synów i Berta młoda wychowanka, połączeni być mieli ślubem małżeńskim, w dniu w którym dziewica ukończy lat szesnaście. Na kilka miesięcy przed tém zauważano dziwną zmianę w obejściu Jerzego młodszego z braci; unikał domowników i zapędzał się na samotne w las przechadzki, z których powracał zawsze smutny i zamyślony; jeżeli zaś badano go o przyczynę tęschnoty, mimo wrodzonéj sobie łagodności, unosił się porywczo i gotów był natychmiast pokrywać kłamaném weselem, ponure usposobienie swoje. Unikał przedewszystkiém zapytań rodziców, a jeżeli Jan lub Berta czynili nad nim spostrzeżenia, wtedy niecierpliwość jego nieznała już miary i widocznie rad był rychło ukryć się przed wzrokiem ludzkim. Rodzice uważać poczęli w końcu stan Jerzego jako ciężkie dopuszczenie Boże, któremu poddali się z pokorą, w nadziei że im z nieba tylko spłynąć może pociecha.

Z ich polecenia nikt już niebadał więcéj młodzieńca i dozwolono mu dnie całe pędzić zdala od zamku, w którym lubo już nie tak wesoło jak dawniéj, zawsze jeszcze jednak ludno być nieprzestało. Nadszedł radosny dzień zaślubin Jana i Berty. Zatrudnieni przygotowaniem uroczystości, na którą zaprosili wszystkich okolicznych panów, biedni rodzice zaniechać musieli na chwilę swéj troski o młodszego syna. Cały zamek zakipiał gwarem weselnym. Zastawiano stoły do sutéj biesiady, podczas gdy w wielkiéj rycerskiéj sali zgromadzeni goście czekali przybycia oblubieńców. Ukazali się wreście przystrojeni w świetne godowe szaty, a za niemi szła rozrzewniona matka i sędziwy kapelan, który święconą wodą oblewał dziecięce ich skronie. Już w uroczystym pochodzie wszyscy przejść mieli do zamkowéj kaplicy gorejącéj światłem, gdy kasztelan spojrzawszy po przytomnych zauważył, że brakło jeszcze Jerzego i szepnął na ucho pachołkowi iżby go przywołał. Pani na Mondsternie w jednéj chwili spostrzegła również nieobecność syna i serce jéj ścisnęło straszne jakieś przeczucie. Z najwyższym niepokojem oczekiwała powrotu wysłańca, a gdy tenże miasto wprowadzić Jerzego przyniósł pismo w ręku, drżąca i blada upadła na ławę przy ścianie bez tchu prawie. Kasztelan odebrał pismo, a przebiegłszy je oczyma pobladł również. Wszyscy spoglądali na niego z niespokojnym podziwem, więc oprzytomniał wkrótce i prosił aby niezwlekając dłużéj przeszli do kaplicy, ale Jan który kochał tkliwie brata, mimo że rychło pragnął zostać małżonkiem ulubionéj swojéj, niemógł przenieść dłużéj trwogi o los jego.

— Panie ojcze, zawołał, powiedz nam azali nieszczęście jakie przytrafiło się Jerzemu?

— Mów, wyrzekła matka zrywając się z siedzenia i błagalnie składając ręce.

Na rozpaczny głos żony kasztelan nie zdolen był dłużéj zataić swego bólu.

— Niewdzięczne dziecię! zawołał, zakrwawia serca nasze, opuszcza nas na wieki, jednego już tylko mamy syna!

Biedna matka upadła zemdlona na te słowa, Berta pochyliła się również jak kwiat podcięty kosą, a Jan pośpieszył na ratunek obu i minęła długo chwila zanim zdołał je uspokoić trochę.

Jerzy w swém piśmie zawiadamiał rodziców, że nieujrzą go już więcéj, błagając o przebaczenie za czyn którym czuł, że napełnia żałością ich serca, w zamian za miłość jaką dla niego mieli. Żegnał potém Jana i siostrę swą Bertę, życząc im długich lat szczęścia w ich związku.

Zaniechano obrzędu wesela, a natomiast rozesłano posłańców na wszystkie strony, w nadziei, że zdołają wstrzymać nieszczęsnego młodzieńca od samobójstwa, które wróżyło pismo jego. Zaproszeni rozjechali się smutno do domów, a cisza grobowa zaległa zamek, który już odtąd nigdy nie ożywił się radością, bo za dni kilka powrócili gońce; wrócił i Jan wraz ze starym ojcem, ale nikt nie przywiózł innéj wieści o Jerzym jak że zakończył swój młody żywot w falach Renu. Pasterze miejscowi widzieli jak rzucał się w rzekę na swym białym rumaku, w miejscu gdzie woda najgłębszym kipiała warem. Czyniono następnie poszukiwania aby odnaleźć ciało, lecz nie znaleziono nigdzie śladu młodzieńca, a koń tylko spieniony i drżący powrócił do żłobu. Pani na Mondsternie od owéj przygody widocznie gotować się zaczęła do przejścia w świat lepszy, gdzie też wkrótce powołał ją Bóg, chcąc jéj oszczędzić zapewne ciosów, które następnie uderzyć miały w jéj rodzinę. Jan dla wielkiéj żałoby rodzica i smutku narzeczonéj swojéj, długo nieśmiał wspomnieć o spełnieniu pod tak bolesną wróżbą rozpoczętego związku. W półtora roku potém jednakże, sam kasztelan naglić począł o połączenie dwojga pozostałych mu dzieci; odbyły się więc w cichym najbliższych przyjaciół gronie zaślubiny młodéj pary. Jak gdyby na potwierdzenie przysłowia, że nieszczęście nigdy samo nie wstępuje w progi domowe, lecz że towarzyszy mu zwykle liczne grono innych boleści, dalsze życie nowożeńców rozwijało się na tle ponurém rozpoczętéj przy wstępie żałoby. Wrogi sąsiad zamku pałający z dawna niechęcią do rodziny Mondsternów, uwziął się teraz na jéj zgubę. Gwałty i grabieże, których się dopuszczał, zniszczyły wkrótce posiadłości starego kasztelana. Przyjście na świat Adeli

w parę lat po zaślubinach rodziców, było jedynym promieniem radości ich smutnego życia. Gdy jednakże dzieweczka podrastać zaczęła, przywiedziony do rozpaczy coraz większym niedostatkiem Jan, niemogąc znaleźć sprawiedliwości u ludzi, obyczajem owych wieków postanowił pomścić swą krzywdę na nieprzyjacielu. W szczupłém gronie przyjaciół, którzy mu wiernemi pozostalí, uderzył na zamek jego. Nazajutrz po téj wyprawie, któréj daremnie przeszkodzić sce rodziców małéj sierocie. Z początku dźwigał się jak mógł w swym bólu, lecz gdy po latach kilku odebrał wieść, że Jan legł na polu bitwy, ponury smutek rozsiadł się na wieki w jego duszy i nic go już zatrzeć niemogło. W zamku, który mu pozostał jedyną spuścizną ze świetnego niegdyś mienia, wraz ze starym kapelanem i Gerwardem, ulubionym minstrelem, który go opuścić niechciał, poświęcił się cały wychowaniu dziewczęcia. Adela wzrastała wśród trzech starców, jak wonna lilja biała pod cieniem konarów dębów odwiecznych, w cichéj i tęschnéj żałobie. Rzadkie wrodzone jéj przymioty nie traciły na tém, i owszem w tém poważném życiu zyskiwały na świetnym blasku. Była bowiem anio-



Pasterze miejscowi widzieli jak rzucał się w rzekę na swym białym rumaku.

chciała łzami swemi i prośbą Berta, przywieziono go do Mondsternu umierającego z ran odniesionych w boju, z którego wyszedł szczęśliwie przeciwnik jego. Kilka tygodni walczył pomiędzy życiem i śmiercią, w końcu jednakże siły młodości zwycięztwo odniosły. Zwolna zaczął powracać do zdrowia, a tymczasem Berta nieznacznie do grobu zstępowała. Nadwątlone już wpierw zgryzotą jéj siły, niedługo przenieść mogły ostatnie wstrząśnienie, zgasła, polecając swe dziecię odchodzącemu od zmysłów ojcu. W kilka tygodni po jéj zgonie, Jan niemogąc się ostać w domu pojechał w świat daleki, walczyć przeciw niewiernym i bronić od krzywd uciśnionych, a stary kasztelan zastępował jedynie miejłem opiekuńczym opustoszałego zamku. Młodziuchne pacholę, wnuk osieroconego również jak pan jego Gerwarda, podzielało jéj igraszki dziecinne, a stara Małgorzata ochmistrzyni niegdyś Berty, doglądała obojga z macierzyńską miłością. Kilku wiernych lenników przerywało niekiedy odwiedzinami swemi jednostajność codziennego żywota w starym zamku, opustoszałym po dawnych biesiadach i igrzyskach. Zgromadzili się właśnie aby obchodzić szesnastą rocznicę urodzin dziewczęcia, a jeden z nich nadto jeszcze przyprowadził z sobą wędrownego lutnistę chcąc uweselić młodą panię. Lutnista nucił tak cudne pieśni, że aż zazdrość brała starego Gerwarda, że nie mógł mu sprostać. Po skoń-

czonéj wieczerzy zastawionéj przez Małgorzatę, rozeszli się wszyscy na spoczynek, a Adela aby dzień ten osłodzić dłużéj kasztelanowi, siadła u kolan jego prosząc aby jéj opowiadał stare dzieje, o których jedynie rozprawiać lubił niekiedy.

— Cóż ci powiem czegobyś już nie zasłyszała odemnie miła dziewko moja, wyrzekł smętnie, wszak wiesz już wszystkie opowieści dotyczące twéj rodziny.

— O! wiele mi jeszcze wiedzieć potrzeba, rzekło dziewczę, chcąc przewlec rozmowę. Niewiem n. p. co znaczy ten księżyc dwurożny z gwiazdą w pośrodku, który napotykam po nad drzwiami wszystkich komnat zamku?

— Jakto! czyż niewiesz że to nasz klejnot rodzinny?

— Wszakże na tém nie koniec jeszcze, musi on mieć jakiś początek, wszak tyle cudnych powieści rozpowiadaliście o podobnych klejnotach ojcze!

— I do tego przywiązane jest piękne podanie zasługi jednego z przodków naszych.

— A więc opowiedzcie mi to ojcze, zawołała zaciekawiona dzieweczka, opowiedzcie, a ja w zamian zaśpiewam wam pieśń nową któréj mię wyuczył Gerward.

— Dobrze już dobrze słowiku mój, rzekł, uśmiechając się starzec, słuchaj tylko uważnie jak to umiesz, bo nie lubię mówić napróżno.

— O! wiecie dobrze że słuchałabym noc całą opowiadań waszych niezmrużywszy oka, odparła Adela składając ręce błagalnie.

— Nie znużę tak długo baczności twojéj, bo krótka będzie ta opowieść, późno też z resztą i czas nam obojgu spocząć. Słyszałaś nieraz już odemnie, że wszystkie klejnoty rycerskie biorą swój początek od świetnych czynów rodziny, która się następnie szczyci niemi w potomne wieki. Znaczna ich liczba pochodzi z czasów toczących się w zeszłém stuleciu wojen krzyżowych, w których rycerstwo całego świata, miało szeroko rozwarte szranki do zasługi i chwały. I tak, gdy w roku 1190 szlachetny książe Leopold austrjacki, odznaczył się przy wzięciu Ptolomaidy, dowodzący tamże słynny walecznością i cnotą Fryderyk ze Szwabji, zamieścił w jego tarczy godło, którém po dziś dzień szczyci się dom austrjacki. Otóż gdy w wiele lat potém tenże sam Leopold wyprawił się do Palestyny, wraz z Andrzejem królem węgierskim i Ludwikiem ks. bawarskim, jeden z przodków naszych Otto na Mondsternie, towarzyszył im w téj pobożnéj wycieczce, wraz z licznym pocztem rycerzy, którzy również krzyż Chrystusa zawiesili na swych szatach, co znakiem było że przysięgli walczyć za wyzwolenie miejsc świętych z rąk niewiernych. Zasiadał wtedy w Jerozolimie na tronie Godfredów i Baldwinów, godny ich następca, Jan hrabia z Brienne, wraz z Marją córką królowéj tamecznéj Izabelli i słynnego księcia Tyru, Konrada markiza z Monferrat'u. Młoda księżniczka wstąpiła na tron po śmierci matki i ojczyma swego Emeryka z Lusignan, a do króla francuzkiego Filipa wyprawiono posłów z prośbą, aby wybrał dla niéj małżonka. Wybór ten padł na młodego i walecznego hrabiego z Brienne, właśnie w czasie gdy Leopold austrjacki przybył do ziemi Śtéj wraz z Ottonem z Mondsternu. Było to około roku 1218, wojowano wtedy z Meledynem i Koradynem sułtanami Babilonu i Damaszku. Zdarzyło się, że jedną razą wysłano Ottona z oddziałem jego, na wycieczkę nocną dla rozpatrzenia okolicy. Już powracał szczęśliwie do obozu, gdy napadnięty został z nienacka przez nieprzyjaciół. Siła ich była przeważna i zdawało się że podołać jéj nie będzie podobna, a jednakże Otto nie ratował się ucieczką, lecz jak na prawego rycerza przystało, stawił czoło niewiernym, zachęcając do walki szczupły swój orszak słowem i czynem. Owóż odniósł świetne zwycięztwo, bo rozproszył część wrogów a część ich wziął w niewolę. Byli to wszystko ludzie Meledyna, który aczkolwiek poganin miał niekiedy chrześcijańskie uczucia w sercu, skutkiem poufałego przestawania ze Śtym Franciszkiem z Assyzu......

— Jakto! przerwała Adela, mąż święty przestawał z niewiernemi?

— Franciszek z Assyzu w tym celu jedynie na wschód przybył, odparł z uśmiechem kasztelan, aby zamieszkując czas jakiś z niewiernemi, przemienić ich na wy-

znawców Chrystusa; niejednokrotnie udało mu się nawrócić najzaciętszych nieprzyjaciół wiary Śtéj; Meledyn o którym twierdzono nawet że został chrześcijaninem, nieuczynił tego jedynie z obawy swego ludu, lecz zachował przyjazne dla chrześcijan uczucia. Otóż Otto z Mondsternu wspomniawszy na to, obszedł się łagodnie z pojmanymi przez się ludźmi i wypuścił ich bez okupu, warując sobie jedynie odebraną na ten cel przysięgą, aby przy pierwszéj porażce chrześcijan, równą liczbę więźniów udarowali wolnością. Książe Leopold przedstawił mężny i cnotliwy postępek swego rycerza królestwu, a Jan z Brienne i królowa Marja, na wieczną pamiątkę zwycięztwa odniesionego przy świetle gwiazd i księżyca, oraz w tymże czasie dokonanego czynu miłosierdzia, zamieścić rozkazali na tarczy Ottona, księżyc na nowiu z gwiazdą w pośrodku.

— Czyż na tém już koniec powieści waszéj, zapytała Adela, gdy starzec zamilkł pochyliwszy głowę na piersi.

— I cóż ci mam powiedzieć więcéj? chyba to jeszcze, że Otto wysłużywszy szczęśliwie czas, który ślubował poświęcić obronie grobu Chrystusa, powrócił do zamku ojców, gdzie żył długie lata w pomyślności i sławie.

— O! gdybym w owych czasach urodziła się chłopięciem a nie dziewką, rzekła z zapałem Adela, życie całe poświęciłabym na stróżowanie miejsc świętych.

— Bywały wypadki że i niewiasty wyszywały krzyż na swéj szacie, towarzysząc mężom lub braciom w wyprawach, niektóre z nich dawały nawet dowody wielkiéj wytrwałości i męztwa, jak n. p. wdowa Beli króla węgierskiego Małgorzata z Francji. Ślubując poświęcić życie i mienie obronie Ziemi Śtéj, z wojskiem swém połączyła się ona z krzyżowcami, a gdy wszyscy inni książęta i panowie ustąpili z Palestyny, do końca życia z oddziałem swym pozostała w Ptolomaidzie, aby w razie potrzeby ratować chrześcijan lub gromić niewiernych. W chwili gdy kasztelan słów tych domawiał, jak gdyby wtorując opowiadaniu rycerskich dziejów, dźwięczne tony lutni ozwały się pod oknami. Zerwała się szybko Adela i pobiegła wyjrzeć ktoby tak przygrywał. Przy bladém świetle księżyca dostrzegła wędrownego śpiewaka, który wlepiwszy wzrok w mury zamku, tęschną nucił balladę. Był to piękny młodzieniec, w bogatym stroju właściwym lutnistom. Adela w dzień nie widziała go prawie, gdyż pełna dziewiczéj nieśmiałości, niespojrzała i razu wprost w jego oblicze, teraz zaś po za nocnych cieniów zasłoną patrzała weń śmiało, a zajmującém być musiało to co wyczytała wzrokiem, bo pierwszy raz ociągając się spełniła życzenie kasztelana, gdy jéj polecił iść na spoczynek.

Nazajutrz rano gdy późno w noc zasnąwszy zbudziła się i pobiegła do dziadka, młody minstrel opuścił już zamek. Równo ze dniem wyszedł niepożegnawszy nikogo i niewiedziano w którą udał się stronę. Około południa stary Gerward wszedł do izby kasztelana trzymając za rękę swego wyrostka.

— Czego chcesz, wierny mój sługo? rzekł z roztargnieniem starzec odgadując jakąś prośbę.

— Przyszedłem was prosić panie mój, abyście dozwolili mi ukazać kawałek świata temu chłopięciu, które dotąd nic jeszcze niezna, a czas mu już niezadługo o własnych pracować siłach.

— Chcesz mię więc opuścić przyjacielu? rzekł smutnie kasztelan.

Gerward zachwiał się niby sam w sobie, na widok boleści wyrytéj na obliczu pana swego, otrząsł się jednakże wkrótce z chwilowéj słabości i rzekł:

— Pielgrzymka moja niepotrwa długo, za kilka miesięcy będę z powrotem, zajdę tylko do dworów niektórych możnych panów u których gościłem za młodu, a potém jeszcze radbym ukazać temu pacholęciu uroczystości lub igrzyska rycerskie, które gdziekolwiek w tych czasach odbywać się będą.

— O! jeśli tak, to cię oczy daleko gdzie zanieść mogą i może nieujrzemy cię już w zamku naszym.

— Uchowaj Boże! abym niemiał położyć głowy w tych murach, rzekł z rozrzewnieniem minstrel, gdyby nie obowiązki jakie mam dla tego chłopięcia, nierozstawałbym się z wami i chwili, lecz sami wiecie najlepiéj, że przecież zapewnić mu mu-

szę byt dobry i sławę. Kto wie, może któren z możnych baronów upodoba sobie śpiew jego i na zawsze przy dworze swoim zatrzyma.

— O! co na to, to ja nie zezwolę, przerwała Adela, Rudolf będzie moim nadwornym minstrelem, gdy zostanę panią jakiego udzielnego księztwa, dodała z wesołym uśmiechem.

— Szczęść ci Boże! szlachetna panno w spełnieniu tego zamysłu. Obym doczekał jeszcze chwili twych zaślubin z jakim walecznym i zacnym rycerzem!

—Zaśpiewam wtedy najpiękniejszą balladę na cześć waszę ułożoną, ozwał się z zapałem młody Rudolf.

Kasztelan spojrzał w téj chwili na młodzieńca, myśli jego zawsze wracały po chwili nawet roztargnienia, do przeszłości którą opłakiwał.

—Szczęśliwy jesteś Gerwardzie, wyrzekł, że widzisz w tém chłopięciu żywy obraz utraconego syna i możesz mu przekazać sławę pieśniarzy twego rodu, a mówiąc to westchnął głęboko, gdyż wspomniał na synów których mu grób pochłonął.



Co znaczy ten księżyc dwurożny z gwiazdą w pośrodku...

W parę dni potém Gerward zabrawszy swe chłopię, lutnię i kij podróżny, oraz niewielki zapas pieniędzy, z dawna uzbieranych na nieprzewidziany wypadek, wyruszył z Mondsternu. Stara Małgorzata spoglądając za odchodzącemi pokiwała głową i szepnęła na ucho kapelanowi, że Gerward niewyjawił pewno prawdziwego celu swéj podróży, bo niesłyszała nigdy aby przed tém wspominał, że ma zamiar kiedyś wędrować z Rudolfem, teraz zaś nagle po tajemniczéj wczoraj rozmowie z obcym lutnistą, zamierzył puścić się w świat daleki.

Po oddaleniu starego przyjaciela kasztelan zapadł jeszcze w głębszy smutek, a Adela snać trapić się musiała jego boleścią, bo widywano ją niekiedy po godzinach całych przesiadującą w oknach od sadu i wpatrującą się w tęschnéj zadumie w wonnych krzewów gęstwinę, jakby naprózno wywołać z niéj chciała jakąś ulubioną sobie postać.

* *
*

Podczas gdy w zamku nadreńskim samotny starzec i młode dziewczę pędziło dni swoje w cichéj żałobie, w królestwie naszém gotował się wesoły i uroczysty obrzęd. Wnuczka Wielkiego Kazimierza włożyć miała na skroń młodocianą, osieroconą Piastów koronę. Świetny orszak panów, mieszczan duchowieństwa i krakowskiego ludu, wyszedł w procesjonalnym pochodzie, na powitanie młodéj królowéj na górę Lasoty (dzisiejsze Krzemionki), zkąd stary Kraków widny był jak na dłoni. Smukłe wieżyce kościołów i murowane baszty obronne, strzelały w niebo wśród nagromadzonych bezładnie domostw i wdzięcznych zielonych sadów. Z boku na pochyłości góry stanęli obcy przybysze, którzy nienależeli do powitalnego tłumu, a radzi byli przyjrzeć się z blizka całéj uroczystości. Pierwsze miejsce pomiędzy niemi zajęli trefnisie i kuglarze, opłaceni umyślnie z kassy miejskiéj, aby lud rozweselać w tym dniu świątecznym; dalej stali wędrowni-

śpiewacy, z dalekich stron przybyli dla zarobku, nastręczającego się obficie wśród wesołéj ludności, spragnionéj zawsze muzyki i śpiewu. Pomiędzy temi ostatniemi odznaczał się wysoki starzec, a przy nim młode pacholę w świetnéj barwie z lutnią w ręku. Starzec spoglądał badawczo po przechodniach, jakby wśród nich śledził dobrze znanego oblicza, młodzieniaszek zaś pożerał oczyma świetne stroje mieszczan i panów i całą duszą rad był ogarnąć nieznany a wspaniały widok, który mu się po raz pierwszy w życiu przedstawiał. Zadawał liczne pytania, to starcowi któremu towarzyszył, to znów otaczającym go widzom.

— Któż są ci wspaniale strojni ludzie, rzekł w niemieckim narzeczu, wskazując na duchownych grono, co płaszcze mają złociste i złociste, błyszczące od drogich kamieni na głowie kołpaki?

— To Bodzanta arcybiskup gnieźnieński i Jan Radlica biskup krakowski, odparł mu również niemiecką mową, panującą powszechnie podówczas w mieście teutońskim zamieszkałém ludem, rzemieślnik który oddzielił się od procesji aby lepiéj widzieć całą uroczystość. To co bierzesz za płaszcze moje dziecię, są kapy, kołpaki zaś to mitry biskupie.

— A ci strojni panowie z których najpierwszy niesie podarek dla królowéj?

— To rajcy krakowscy. Szaty ich kapią złotem, ale nic to jeszcze w porównaniu skarbów jakie posiadają w domu. Wszystko tam od złota i srebra, że ubogi człowiek aż olśniony zostaje, gdy wejdzie do ich świetlicy. Nasi panowie Wierzynki, Kępicze i Fuggiery, mają większe skrzynie złota od niejednych książąt i królów! a okręty ich pływają po morzach w drogi towar ładowne.



Upadł w ramiona które starzec ku niemu wyciągnął....

— A toż grono dziewic w bieli z jarzącém światłem w ręku, co posuwa się na przodzie? a te matrony w długich ogoniastych szatach i wysokich na głowie czapkach, błyszczące od drogich kamieni niby obrazy cudowne?

— Są to mieszczańskie żony i córy. Daremnie głoszą ustawy poskramiające zbytek ich ubioru, przesadzają się w złotych pasamonach, kaftach, wyszywaniach i dro-

gich kanakach; a nie dość im tego co już mają na sobie, sypiają jeszcze na jedwabnéj pościeli i nakrywają się złotem przetykanemi kołdrami, z których księżny udzielne miećby mogły świąteczne stroje.

— Wspaniale tu i pięknie u was jak nigdzie, rzekł młodzieniaszek, aní podobieństwo do naszego ubogiego zamku, dodał ciszéj wzdychając smutnie.

Królowa! królowa nadjeżdża! ozwał się okrzyk tysiąca głosów, a wraz zabrzmiały trąby, piszczałki, surmy i fletnie i cała procesja posunęła się ku złocistéj kolebce, która stanęła na szczycie góry.

— Powiedz mi, kto jest ów mąż poważny? zapytał stary śpiewak chwytając porywczo za rękę niemieckiego rzemieślnika i wskazując na jednego z rajców, który w chwili gdy się zatrzymała kolebka zbliżył się wraz z drugiemi, aby wedle zwyczaju ofiarować królowéj podarek od miasta na złocistéj poduszce.

— Jest to pan Morsztin mieszczanin i kupiec krakowski, ożeniony z córą Fuggierów, która mu królewską prawie fortunę przyniosła w wianie.

Starzec z niechęcią opuścił głowę, widocznie jak gdyby omylił się wjakim przypuszczeniu, wkrótce jednak znów wzrok wlepił w zaciekawiającą go postać.

— Nie, to być nie może, szeptał z cicha, też same rysy lubo włos przyprószony siwizną, ta dworność w ruchach wskazująca raczéj człeka rycerskiego stanu.... rzemieślnik omylić się musiał, lub sam nie wie co mówi..... i odwrócił się aby ponowić zapytanie, lecz wszyscy co go otaczali rozpierzchli się już do koła, aby bliżéj się przyjrzeć powitaniu królowéj. Młodziuchna Jadwiga przyjęła podarek z uroczystą powagą, do któréj w owych wiekach od kolebki prawie przyuczano dzieci królewskie. Jan biskup Czanadzki znany już przed tém w Polsce z poselstwa do Elżbiety, podziękował wimieniu królowéj rajcom, podczas gdy towarzyszący również córce Ludwika w jéj podróży, kardynał Dymitr, arcybiskup Strygoński, przemawiał do zbliżającego się duchowieństwa. Nadciągnął potém wśród radosnego śpiewu orszak dziewic w bieli i reszta procesji. Wszystkie chorągwie pochyliły się przed królewską dzieweczką, a kolebka wraz z otaczającemi, w uroczystym pochodzie ruszyła ku zamkowi.

Na opustoszałéj górze Lasoty pozostał już tylko stary śpiewak ze swém pacholęciem.

— Idźmy, idźmy wraz z niemi ojcze Gerwardzie, prosił młodzieniaszek, patrzcie jak tam daléj pięknie i jasno, stosy ogniste płoną na ulicach i placach miejskich, a żaki do koła pląsają wesoło.

— Nie jesteś już małém dzieckiem Rudolfie, odparł poważnie Gerward i wiesz że przybyliśmy tutaj nie dla próżnego igrzyska i uciechy, lecz aby mimo wiedzy pana naszego usłużyć mu w ważnéj sprawie, niedziw się przeto, że miasto zabawiać się wraz z drugiemi, powrócę do gospody naszéj, aby tam co rychléj rozpytać się o wszystko co mi wiedzieć teraz potrzeba.

— O! jeśli tak ojcze, jeśli natrafiliście na ślad jaki prowadzący do odkrycia owéj tajemnicy, odparł żywo Rudolf, pójdę chętnie z wami i nie pożałuję najweselszéj ochoty.

— Wiedziałem że się niezawiodę na tobie drogie dziecię i dla tego nie wahałem się wziąść cię za towarzysza méj podróży, rzekł Gerward, pociągając za sobą chłopię w boczną uliczkę, w któréj wkrótce zniknęli oba w furtce niewielkiego domostwa.

We trzy dni potém arcybiskup Bodzanta kładł koronę na głowę młodéj królowéj, a lud cały okrzykami radości i igrzyskami wesela obchodził tę uroczystość. W domach bogatych mieszczan sute przygotowano biesiady, któremi raczono uboższych sąsiadów, a tłumy skoczków, trefnisiów i wędrownych śpiewaków rozweselały zgromadzonych. Nazajutrz po koronacji, cały rynek krakowski zakipiał gwarem zgromadzonego ludu. Starożytny kościołek Śgo Wojciecha i sukiennice niby mrowiem oblepione były; czepiano się dachów i kominów aby dojrzeć tron wystawiony przed ratuszem, na którym zasiadła czternastoletnia Jadwiga, w szkarłatnym płaszczu królewskim i djamentowym wieńcu lilji na skroni, aby odebrać hołd wierności miejskiéj. Gerward z Rudolfem stał pomiędzy widzami, którzy już od rana zajęli swe miejsca, z obawy że niedocisną się później. Starzec był smutny,

gdyż mimo czynionych w tym celu poszukiwań ani kroku niepostąpił w świadomości sprawy, dla której poświęcił się cały. Przyszedł tu aby raz jeszcze przyjrzeć się uważnie postaci człowieka, którego oblicze obudziło w nim dawno zamarłe wspomnienia...... a do którego zbliżać się niechciał, dopóki nie nabierze większéj pewności w domysłach swoich. Podczas gdy orszak królewski zajmował swe miejsca, Gerward spoglądał z roztargnieniem na wyniosłą wieżę niedawno zbudowanéj Marjackiéj świątyni i na ukończeniu będący tuż obok Śtéj Barbary kościołek, a dopiero wtedy gdy burmistrz i dwudziestu czterech rajców uklękło przed królową, wlepił chciwie wejrzenie w ich grono.

— Zadziwiające podobieństwo, szeptał po cichu napotkawszy oblicze pana Morsztina, a jednakże wszyscy jednozgodnie mówią że jest synem spólnika Fuggiera i przeto tenże dał mu córkę za żonę.... Rzecz szczególna.... zdaje mi się że tamtego widzę przed sobą ilekroć nań spojrzę.... nie, niezniosę dłużéj takiéj niepewności, dziś w wieczór pójdę do jego domu który mi wskazano.

— Ojcze, ojcze! wołał Rudolf trącając z lekka starca, patrzcie tam około kamienicy pana Wierzynka stoi lutnista, który nas nawiedzał w Mondsternie, jeno ubiór ma odmienny i wygląda raczéj na bogatego mieszczanina...,.

Gerward powiodłszy wzrokiem we wskazane sobie miejsce wydał okrzyk radości.

— Tak to on w istocie, o niech będą dzięki niebu! a ja już zwątpiłem prawie o opiece Bożéj nad nami, idźmy, idźmy prędzéj aby nam nie zginął w tłumie.

I zabrawszy się z młodzieńczą żywością skoczył pomiędzy fale zebranego ludu. Rudolf pośpieszył za nim, ale nie łatwą było rzeczą wtedy przejść przez niewielką przestrzeń oddzielającą od wskazanéj kamienicy; w pośrodku nawet drogi zatrzymać się musiano niemogąc w żaden sposób daléj postąpić.

— O Boże! rzekł z rozpaczą Gerward, widzieć się prawie u kresu swych żądań, a niemódz i kroku posunąć naprzód, to okropne! Czy widzisz go przynajmniéj zawsze w tém samém miejscu?

— O! widzę doskonale, ale kto wie czy za lada chwilę daléj nie wyruszy, a właśnie królowa schodzi z tronu i do powrotu się zabiera, to za nią wszyscy pociągną...... Na te słowa Gerward z rozpaczném wysileniem przebił się przez tłumy.... jeszcze kilku ludzi oddzielało go od śpiewaka, który zwrócony w przeciwną stronę niewidział go przed sobą, gdy stanąć musiał aby ulżyć ściśnionéj piersi. Zaledwie odetchnął i otarł pot z czoła, popchnięty został tak silnie, że kilkanaście kroków w bok się potoczyć musiał i znów był daléj od lutnisty. W téjże chwili powstał zgiełk i hałas wielki między tłumem, bo nadjeżdżała królowa ze swym orszakiem i usuwano się aby jéj miejsce zrobić. Biedny starzec rozdzielony został gwałtownie z Rudolfem, lecz niezważał już na to, tylko wyciągnął ręce w stronę, w któréj powiewał mu jeszcze błękitny jedwabny płaszcz nieznanego młodzieńca, ale daremnie, płaszcz ten poruszył się także z miejsca i wkrótce znikł w tłumie. Gerward oniemiały z bólu począł przywoływać wielkim głosem Rudolfa, sądząc że tenże prędzéj wraz z nim natrafi na ślad nieznajomego, lecz Rudolf także był daleko uniesiony falą tłumu i niesłyszał tego wołania. Powoli tłum się przerzedził, starzec począł wtedy przebiegać wszystkie ulice miasta wychodzące na rynek, próbując azali w ten sposób nieodszuka pacholęcia swego, lub nieznanego młodzieńca. Rudolf ze swéj strony poszukiwał dziadka, lecz nad wieczorem dopiero napotkali się na Okolu, części miasta leżącéj pod zamkiem, a zamieszkałéj przez samych kotlarzy, których hałaśliwą robotę słychać było zdaleka.

— Lutnista! gdzie się podział lutnista? zawołał Gerward, uściskawszy zaledwie strapione pacholę.

— Szukałem go długo ojcze, zawsze zdało mi się w tłumie że widzę krój jego szaty, lecz snać to być musiało złudzenie tylko, gdyż go nienapotkałem nigdzie....

Gerward załamał ręce i usiadł na kamieniu przed jedném z domostw.

— Ha! rzekł po długiéj chwili namysłu, zrażać się nietrzeba, możemy go napotkać jutro, teraz zaś posiliwszy się nieco pociągniemy do miejsca w którém, jeżeli mię niemylą przeczucia, wyjaśnić się może rzecz cała.

* * *

Światła już błyszczały we wszystkich szybach wspaniałego domostwa, położonego przy mniejszym zamku obok Mikołajskiéj bramy, gdy Gerward wraz z Rudolfem weszli w jego progi. Pachołcy służebni zoczywszy śpiewaka, wprowadzili go chyżo do biesiadnéj komnaty, aby rozrywał zgromadzonych gości. Kraków słynny był w owych czasach namiętném zamiłowaniem muzyki, znane tam były nawet niewidziane jeszcze gdzie indziéj instrumenta. Pan Morstin do którego domu wszedł Gerward, porwał się z siedzenia i z pucharem wina pośpieszył na spotkanie śpiewaka, prosząc go aby zanucił pieśń rozweselającą serce. Starzec zadrżał spojrzawszy z blizka w twarz gospodarza, lecz niepokazał po sobie wzruszenia i przyjąwszy puhar wychylił go za jego zdrowie. Pani piękna jak anioł, lubo czas starł już z jéj lica pierwszéj młodości krasę, wraz z dwoma urodziwemi dziewkami, pośpieszyła również ugościć śpiewaka. Starzec podziękował jéj odsuwając zastawione przed sobą jadło i ujął lutnię z rąk Rudolfa, oniemiałego z podziwu wśród złocistych, pełnych zamorskich cudów komnat. Długo namyślał się stary minstrel przebierając palcami po strunach, aż wreście pieśń jego wylała się szeroko z piersi jak wezbrany potok, opiewając szlachetność i sławę rycerskiéj rodziny, oraz wspaniałość jéj gniazda, starego nadreńskiego zamku. Daléj opowiadała zacność dwóch rycerskich młodzieńców, nadziei i szczęścia rodziców, oraz piękność cudnéj dziewicy, która im siostrą była.... potém nagle przechodząc w żałosne tony, głosiła smutek starego rycerza i jego małżonki po zgonie jednego z synów, a następnie inne śmierci i nieszczęścia, które niby piorun uderzyły w gmach stary, w końcu zaś skonała w przeciągłym ponurym jęku, jak gdyby na raz pękły wszystkie lutni struny......

Wszyscy zgromadzeni słuchali z zachwytem starca, pan zaś domu zdawał się tonąć w jakichś dawnych a rzewnych wspomnieniach, bo przysłoniwszy oczy rękami, to bladł jak chusta, to płonął szkarłatem na przemiany...... Gdy Gerward zamilkł, zerwał się z siedzenia i stanąwszy przed nim patrzał mu w oczy pilnie, a potém jak gdyby pchnięty niewidzialną siłą upadł w ramiona, które starzec ku niemu wyciągnął. i rzewnie zaszlochał....

— Panie! wypuść już sługę twego w pokoju, rzekł rozpłakany również minstrel, niepragnę żyć dłużéj skoro doczekałem tak wielkiéj radości. Oczy serca mego poznały was od pierwszéj chwili panie, tak jak wy mię poznajecie teraz.

— Cicho, cicho, szepnął pan Morsztin, oni nic nie wiedzą, dodał wskazując na zgromadzonych, chodź ze mną do izby mojéj — i pociągnął za sobą uradowanego starca do swojéj komnaty na drugą stronę domu.

(D. n.)

WYJĄTEK Z DZIEŁA KSIĘDZA GRATRY (LES SOURCES) ŹRÓDŁA.

Ksiądz Gratry filozof francuzki, znany polskim czytelnikom w tłomaczeniu, wydał niedawno nową książkę pod tytułem: *les sources* (źródła). Jest to rodzaj przewodnika naukowego dla młodzieży szkoły kończącéj, w którym znajduje się chemja, matematyka, fizyka, filozofja i t. d. Współpracowniczka nasza p. Julja Janiszewska, przełożyła ją na polski język i nadesłała nam z Paryża wyjątek z tego tłomaczenia, któren podajemy czytelnikom poniżéj.

II.

Kiedym był młody i niedoświadczony, ale z mocném postanowieniem służenia Bogu i ludziom, ulegałem często owym stra-

sznym napadom gorliwości płonnéj a dzikiéj niszczenia wszystkiego; bluźniłem dobrym owocom chwili bieżącéj albowiem niepojmowałem ich wartości. Zaślepiony ciemnotą wieku, bardzo długo niedomyślałem się tajemnicy któréj blask od dni niewielu, oświeca wzrok méj duszy. Tą tajemnicą jest: że Bóg więcéj dla nas uczynił niż się tego domyślamy. Tak, wszelkie dobro znajduje się blizko nas, lubo zwykle widzieć tego niechcemy! Słaba nader zawada przedziela nas od nieba i ziemi obiecanéj, a tę zawadę znieść może nasza wola. Ale w zaślepieniu i niewdzięcznym pogrążeni smutku, nieumiemy dostrzedz tego iż Bóg wszędzie i zawsze był dla nas szczodrobliwym. *Si scires donum Dei!* Gdybyście znali dary boże! powiada Ewangelja. Ziemia ta jest świętą! woła Mojżesz podczas widzenia, ja zaś niewiedziałem o tém.“ I my tak samo, wszyscy prawie niewiemy ile świętości i cnoty, zawiera w sobie ten współczesny świat nasz.

Życie ludzkie podobnie jak bieg przyrody lub ciał niebieskich obrot, ślepemu trafowi nieulega. Początek wszystkiego jest w dobroci Bożéj, a święte prawa Opatrzności kierują wszech-rzeczy rozwojem. Czegóż nam więc niedostaje? kędyż jest złe — kędyż są zawady? W zaślepieniu i nieprawości naszéj; zwalczmy tę jedyną zawadę a wszelkie dobro się zjawi, bo cała praca ludzkości zawiera się w téj boskiéj nauce: „Szukajcie najprzód królestwa bożego i sprawiedliwości jego, a reszta sama się znajdzie.“

Tak: reszta sama się znajdzie, a raczéj wszystko czyli już nam nie jest dane?

III.

O! gdybyście znali dary boże. Od pierwszéj chwili przyjścia na ten świat otrzymaliście łaskę Pana. Słońce swe i rosę, powiada Ewangelja, zsyła Bóg zarówno dla dobrych jak i dla grzeszników. Usuńcie zawadę niesprawiedliwości, a duch boży napełni duszę waszą. To, czego uczą nas dogmata o łasce i Duchu Świętym, prawdziwe jest we wszelkich źródłach życia.

Ciału naszemu dany jest pokarm, członkom ciepło, światło — oczom. Karmicielka rodu ludzkiego ziemia, płynie mlekiem i miodem, łono jéj wezbrane obfitością. Bóg hojnie udziela jéj światła, ciepła, wody, elektryczności i żyzności wszelakiéj.

Światło rozumu oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego. I poznanie prawdy jest nam także dane, pewność łask bożych bywa nam wrodzoną, lecz umysł nasz niespokojny i wątpiący, wkrótce się jéj pozbywa. Zjawia się zastanowienie wahania pełne, które człowieka przywodzi aż do zwątpienia i błędu. Dla czegóż Bóg niemiałby uczynić dla serca i umysłu ludzkiego tego, co tak widocznie dla ciała naszego uczynił? Więc téż prawdziwa mądrość dana jest człowiekowi wedle jego potrzeby, a sofiści poszukujący początków téj mądrości, niczém inném nie są jedno nierozumnemi niewdzięczniki. Mamy téż i prawdziwą religję i to pewna że człowiek nie samym żyje chlebem ale i słowem bożém; ztąd wnoszę iż słowo boże mamy w pośród siebie tak samo jak chleb; obiega ono świat i udziela się wszystkim ludziom.... O! tak, prawdziwa wiara jest nam dana w takiéjże obfitości jak dary przyrody. Tak: sam Bóg nam się udziela. Niebiański ideał, najwyższe dobro którego każde serce pożąda, o którym marzy wszelki twór ludzki, Bóg zstępuje do nas, wciela się w umysł i duszę człowieka, udziela się jego istocie jak powietrze płucom.

Dobra te są nam udzielone aż do zbytku. Że przemilczę o cudach i pięknościach sztuki, ale darów prawdziwéj nauki, pominąć mi niewypada. Jakież to rozległe dziedziny głębokich prawd, odkrywają się przed nami! Nauki matematyczne otwierają umysłowi ludzkiemu olbrzymi świat pojęć, za pomocą których, zawładnąć może przyrodą. Postać widzialnych niebios już zbadana, prawa które światom ruch nadają poznane aż do najdrobniejszych szczegółów; przestrzeń zwyciężona przez rozum człowieka, ród zaś ludzki w skutek wynalazku telegrafów i kolei żelaznych, rozpoczyna jakoby nową epokę i wkrótce mieszkańcy ziemi staną się jedną rodziną, wspólne zajmującą mieszkanie i ściśle połączoną ze sobą.

* * *

A więc śmiało, bracia moi! gdyż umysł ludzki wielkie czyni postępy; w dzisiejszych czasach rozwija naukę, która więcéj wywrze na świat wpływu, niż dwuwiekowe badanie sił przyrody. Nauką tą jest: nauka *o obowiązkach.*

Chcę przez to powiedzieć iż w bieżącém stuleciu, nauki ekonomiczne, prawo, dzieje i ogół nauk społecznych oparte są na zasadach przedwiecznéj sprawiedliwości i zlewają się w jednę szczytną umiejętność która *obowiązku* nosi nazwę.

* * *

Najpierwszym obowiązkiem człowieka jest miłować Boga nadewszystko. *Służyć Bogu*, rzekłbym nawet *pomagać Bogu.* Chrystus powiedział przecie: „Mnie samemu pomagacie.“ Jest to także wyrażenie Śgo Pawła. *(Dei adjutores sumus) pomocnikami Boga jesteśmy.* Pomagajmyż więc Bogu zwracając do Niego dusze nasze; zacznijmy od swojéj, nim pracować odważymy się koło innych; pracujmy nad tém aby wszelkie stworzenie pełniło wolę Stwórcy, ażeby On, dobroć najwyższa, prawda najdoskonalsza, piękność, szczęście, miłość, wszystkiém był w nas. Błagam Najwyższego aby raczył otworzyć oczy wszystkich myślących ludzi, żeby się zjednoczyli ku zrozumieniu téj prawdy. Ojciec jest z nami; nasz Bóg jest w nas. Żyje w nas i chce być naszym przewodnikiem, a my wybrane dzieci jego idziemy za Nim lub się Mu opieramy. Jak to! więc błędy panteizmu*) nie uleczą ślepoty naszéj? Czyż nierozumiecie iż każdy twór Bogiem nie jest, ale w każdym tworze mianowicie w duszy obdarzonéj rozumem i wolą jest Bóg który działa, oświeca, kieruje. Oto najprostsza zasada metafizyki, logiki, moralności i całéj o obowiązkach nauki.

* * *

Obowiązek względem samego siebie człowiek ma ten: żeby sam siebie umiał wychować. Bywa początkowe wychowanie, otrzymujem takowe od Boga, przyrody i społeczeństwa. Ale Bóg wymaga abyśmy tego wychowania sami dokończyli, za pomocą woli naszéj. Zacząć musimy od tego iż przejmiemy się głębokiém uszanowaniem dla zasad jakie rodzina, społeczeństwo i kościół, w nas zaszczepiły. Będzie to dobrowolném przyswojeniem wpojonych w nas prawd i początkiem przejścia umysłu naszego ze stanu biernego w czynny. Takowe przejście, za dni naszych szczególnie, mało kto dobrze wykonywa. Dzisiejsza młodzież nieumie ani uczcić, ani przyswoić, ani też zgłębić niczego. Wspaniałe dary Boże są od niéj wzgardzone i zdeptane. Zamiast naśladować apostołów podczas cudownego ryb połowu i wybierać co dobre odrzucając liche, ona wszystko precz odrzuca, z owéj łask obfitości. Większa też część żyje potém w ubóstwie moralném, z brakiem wiary i tylko czasami, w skutek sił wyczerpanych i niedoli przy schyłku życia, powraca by szukać owych skarbów, które w dni swych zaraniu miała poddostatkiem.

Mówią nieraz o obowiązkach względem ciała i słusznie. Najpierwszym tedy obowiązkiem względem ciała będzie wybór dobry pomiędzy dwiema drogami w życiu. Złe lub dobre? śmierć lub żywot? Zdrowie, długoletność, piękność zawisły od tego. Większość, zwykle zabija ciało swe przez występek. Nauka wyciągnęła nawet aksyomat który godzi się powtarzać co chwila. *Człowiek nie umiera lecz się zabija.* Piękność zaś jest to dusza przeobrażająca ciało i nadająca mu wyraz. Oblicze ludzkie zawsze bywa odbiciem wewnętrznego usposobienia. Pomagajmy więc temu biednemu ciału, utrzymujmy je, przeobrażajmy przez czystość, swobodę umysłu, odwagę, rozum, szlachetność naszych uczuć i skłonności. A teraz przejdźmy do duszy. Jużeśmy uczynili wybór, usunęli śmierć, a życie przyjęliśmy jako zasadę postępowania naszego. Lecz aby postanowienie nasze niestało się płonném, żeby można wychować samego siebie z korzyścią, potrzeba działać, pracować, sił swych używać. „Nabierz siły i stań się mężem.“ *Confortare et esto vir.* Słowa te, stosują się do każdego przy wstępie do życia, tak samo jak były zastosowane do proroka przed wejściem do ziemi

*) Panteizm naucza iż każda rzecz stworzona, jest Bogiem. (Przypisek tłomacza.)

obiecanéj. Idzie tu bowiem o zdobycie za pomocą wolnéj woli, nauki prawdy i cnoty.

* *
*

Nauka moralności, dla społeczeństwa i jednostek, dla narodów i człowieczeństwa całego, nauka ta, jéj skutki obecne i przyszła jéj głębokość i ważność, sięgają wszechnauk świata, wszystkie one objąć i połączyć się dadzą w moralności. Obejmuje ona hygienę tak wielce każdemu potrzebną. Cała ekonomja polityczna jest moralnością, jako nauka pracy, umiarkowania, sumienności, rządności, wykazująca błogie tych wszystkich cnót skutki. A dzieje? czyż to nie prawdziwa moralność w czynie? Cóż w nich innego dostrzegamy jeśli nie postęp rodu ludzkiego, przyspieszony lub zatamowany przez cnotę albo występek? Nieoddzielna zaś towarzyszka dziejów, geografja, czyż nieobejmuje całéj przyrody a przez to samo niestykaż się z moralnością. Cóż powiedzieć o logice? Niepodobna oddzielać jéj od moralności, są one obie połączone ze sobą tak ściśle, jak złączon jest rozum z wolą, dwie odmienne własności jednéj i téj saméj duszy. Obowiązkiem przeto naszym będzie poszukiwanie tego umiejętności ogółu, który nazywamy: prawdą. Zbiór takowy jaśniejszy jest i przystępniejszy w całości niż w szczegółach. Przez nauki porównawcze, najłacniéj dojdziem do tego celu.

* *
*

A skoro dokonamy w sobie tego *drugiego wychowania*, należy nam zabrać się ku niesieniu pomocy drugim: krajowi, rodzinie, wszelakiemu bliźniemu w upadku i niedoli, wszystkim pomagać, wszystkich powinniśmy kochać.

Błogosław przeto Bogu o! bracie, gdyż abyś wypełnił te obowiązki, Bóg niezostawił cię samym. Ciężkoby ci było, samemu wziąść się do dzieła. Ale człowiek nie jest pojedynczą istotą, jeno ciałem zbiorowém. Kłos albo grono, za lepsze mu godło posłużą niż djament lub perła. Bracie mój, ty masz rodzinę. Najprzód tę z któréj pochodzisz, powtóre: tę któréj głową sam będziesz.

* *
*

Rodzina! mówmy o téj którą sam rozpoczniesz. To ci może ułatwi zrozumienie twych obowiązków. Abyś je dokonał, aby się one trudnemi tobie niewydały, czeka cię pomoc serdeczna, blizka, drugi prawie ty sam. *Adjutorium simile sibi.* Masz obok siebie widzialną pomoc, nagrodę, przedmiot miłości z którym Bóg cię złączył węzłem przyrodzonym, prawym, świętym. Tu masz czerpać swą siłę. Wszak Chrystus rzekł: „gdy się was dwoje połączy na ziemi w mojém imieniu, otrzymacie wszystko o co prosić będziecie.“ Cóż przeto znaczy dziesięć lat doskonalenia się osobistego ażeby stać się godnym córki bożéj, na towarzyszkę całego życia? Albož to niewiesz że chrześcijańskie małżeństwo tę obejmuje tajemnicę, że Bóg zaślubia człowiekowi swą córkę lub swego syna? i królestwo w posagu im wyznacza. Teologja tak się o tém wyraża: *Małżeństwo jest Sakrament dla żywych*, ma to znaczyć że człowiek powinien być w stanie łaski przystępując do tego sakramentu, podobnież jak do kommunji. Kto z pośród nas poważy się kommunikować niegodnie? Nikt zapewne. Czemuż przeto do sakramentu małżeństwa przystępujecie — niegodnie?

* *
*

Oto jest ona, ta córa królewska, godna by przez ciężką pracę dosługiwać się jéj ręki, jéj miłości pochodzącéj od Boga... Dla niéj warto być pięknym, czystym, odważnym, umiejętnym, wolnym, szanowanym, przyjacielem Boga; zdolnym przez talenta i charakter udzielić jéj opieki i sławy—jéj i dzieciom które się z niéj urodzą!

Są to rzeczy tak wielkiéj wagi, że miłość tylko, miłość w szlachetném sercu poczęta, pojąć je zdoła. Szczęśliwe przyszłe czasy! one jak mniemam, będą miały większą cześć i lepsze zrozumienie tego sakramentu żyjących. Wtedy, będzie, rzec można, powrót do Boga, rozpoczęcie nowéj ery dla społeczeństwa i dla kościoła; ery, przeobrażenia się rodziny przez małżeństwo chrześcijańskie, dobrze nakoniec zrozumiane. Prawdziwe małżeństwo, małżeństwo święte, z córką lub synem Boga; co za szczęście! jakaż świetna przyszłość! Wszakże i najnędzniejszy z ludzi do takie-

go szczęścia jest powołany. Dzięki, dzięki Bogu! wszyscy ludzie szczytne mają posłannictwo. Różnica społecznego stanowiska znika w obec téj równości sakramentu małżeństwa, w którém każdy poślubić może jedno z dzieci Ojca niebieskiego.

Błogosławieństwa jakiemi Bóg obdarza rodzinę, człowiek dopiero wtedy pojmuje dokładnie kiedy zostaje — ojcem. Zamienia się on w kapłana i naczelnika, w bóstwo opatrzne dla tych niewinnych istot którym dał życie. Czysta dziecięca dusza upatruje w swym ojcu boską doskonałość, mądrość, potęgę. W matce domyśla się skarbów dobroci, miłości, piękności. Rodzina, to kościół pierwiastkowy, cudne godło zgromadzenia wiernych i przysposobienie do kościoła powszechnego. O mężczyzno! o niewiasto! widzicie jakie o was mniemanie jest waszych niewiniątek. Bóg je tém natchnął, Bóg chciał im dać w waszéj osobie objawienie boskich pojęć, najprawdziwszych, najdoskonalszych, najszczytniejszych. Czyliż nie chlubne wasze posłannictwo? Obowiązkiem waszym jest wyobrażać Boga; być dla dzieci waszych bóstwem widomém, nieść im radość, wiarę, niebiańskich udzielać im widzeń i nadziei. Oto wasz rodzicielski obowiązek. Ma on być dla nich skazówką życia; wszakże pragniecie aby życie ukochanych tych istot które Bóg wam powierzył, było szczęśliwe i dobre? Są, dzięki Najwyższemu, rodzice spełniający w duchu i prawdzię szczytny swój kapłaństwa obowiązek. Czyżbyście niechcieli pójść śladem takowym? Od was należy się dzieciom waszym wzór wszechpiękności moralnéj. Lecz jeśli sami niebędziecie bogobojni, sprawiedliwi, umiarkowani, rozumni i czyści; doskonali w łagodności i dobroci, wtedy biada wam! dzieci czują to czego się okiem niedostrzega, widzą jasno i pojmują jak natchnione.

* * *

Dziś pokolenia rozbiły się na jednostki, społeczność niema żadnéj spójni, żadnéj moralnéj ścisłości. Co za szkoda że szlachectwo tak źle bywa pojmowane. Dla czego każdy człowiek niestara się o nie? Niechaj wszyscy się uszlachcają! Droga ta każdemu otwarta przez pracę i cnotę. Cześć dla przodków, śliczny wyraz i rzecz arcy-piękna. Albożnie jest wrodzona wszelakiéj ludzkiéj istocie chęć uwiecznienia swéj pamięci? Nasz odkupiciel i Zbawca gdy postanowił sakrament Ciała i Krwi swojéj, temi ustanowił go wyrazy: „*Czyńcie to na pamiątkę moją.*“ To co uczynił drugi ojciec rodu ludzkiego Chrystus, to samo powinien każdy uczynić. Ze swą krwią, powinien dzieciom przekazać, świętą i błogosławioną od ludzi pamięć.

Da Bóg że dokonamy tych rzeczy i wielu równie dobrych, gdy boskie ewangelji prawdy wnikną w zwątpiałe i obojętne rzesze, jak wnika światło i wilgoć za nadejściem wiosny. Nieupłyną trzy wieki a dzisiejszy odmęt zniknie, nauka o obowiązkach postąpi tak dalece iż sprowadzi to przesilenie które się już teraz zaczyna. Wtedy, wyszlachetnieją narody i wszelki stan, wszelaka rodzina poszczyci się tém szlachectwem jakie nadaje — cnota.

KAPITAN OKRĘTU SĘP.

POWIEŚĆ Z ANGIELSKIEGO MISS. M. E. BRADDON.

(Dalszy ciąg.)

— Ringwoodzie, rzekł w końcu, jest w tém jakaś niepodobna do zbadania tajemnica, znam tego barona, tego sir Lovela Mortimer.

—Znasz więc mego najlepszego przyjaciela, mówił Ringwood z dumnym uśmiechem.

— Znam go jako najśmielszego rozbójnika który kiedykolwiek umknął z Old Bailey.

— Rozbójnik! on?... baron... wzór mody, zwierciadło wdzięku, jak go zowie rejent Lowless, najwytworniejszy tancerz

z Ranelagh, właściciel jednego z najpiękniejszych majątków w Devonshire, strzeż się Darrell'u mówić podobnie o jednym z moich przyjaciół!

— Mój biedny Ringwoodzie, rzekł łagodnie Darrell, wybieraj lepiéj twoich przyjaciół, spodziewam się że niepozwoliłeś się przynajmniéj ograć temu baronowi.

— Przegrałem do niego parę razy po kilka sztuk złota, pomruknął żałośnie Ringwood. Smutek jego pochodził z przyczyny że nie pierwszy raz już doznał przykrego zawodu, idąc za swym zamiłowaniem do ludzi błyszczących w świecie, a nikt prócz Darrella nie wywiódł go dotąd z błędu.

— Chcesz mię więc przekonać że sir Lowel......

— Sir Lovel niema więcéj znajomości świata od ciebie, zdobył on swe piękne obejście na wielkim gościńcu, a ziemie których jest panem, dostarczą mu jedynie drzewa na budowę szubienicy. Policja zna go pod nazwiskiem kapitana Fanny, dom zaś do którego cię wprowadził jest bezwątpienia jaskinią zbójców....

Niewiedząc co odrzec na to, Ringwood usiadł na łóżku i gniotąc w ręku swą szlafmycę, spoglądał nieprzytomnie do koła z wyrazem powątpiewania.

— To jeszcze nie wszystko co wiem o nim, mówił Darrell, jest jakaś tajemnica w stosunku tego człowieka z Jerzym Duke. Mogą oni zapewne znaleźć ze dwunastu podobnych sobie, lecz mimo to nie zmienię przekonania, że kapitan Sępa okradł mię na drodze do Marley. Kilka miesięcy temu odnalazłem mego konia, u twego przyjaciela barona, czyli raczéj u kapitana Fanny, sądzę zatem że Jerzy Duke ukrywał się w Londynie i podczas gdy myśleliśmy że żegluje po morzu okradał ludzi na lądzie. Okręt jego Sęp jest po prostu statkiem korsarskim, który prowadzi handel murzynami, z czego zawsze wypada, że pan jego jest rozbójnikiem.

— Wiem jedynie że widziałem go w nocy w owym domu w Chelsea, pomruknął z cicha Ringwood, którego słaby umysł nie mógł iść na równi z żywą wyobraźnią Darrell'a.

— Wstań i ubierz się podczas gdy pobiegnę na policję. Ten łotr kapitan Fanny, ukradł mi konia i pieniądze na drodze do Bath, uzyskam pozwolenie pochwycenia go natychmiast, wezwę dwóch policjantów, ty zaś doprowadzisz nas do domu, w którym widziałeś Jerzego Duke i niezadługo odkryjemy całą tajemnicę.

— Dwóch policjantów, to za mało, szepnął Ringwood, Lovel otoczony jest zawsze przyjaciołmi, w domu tym ukrywać się może znaczna ich liczba....

Darrell spojrzał na niego pogardliwie:

— Nie będziesz nam pomagał rzekł, wskażesz tylko dom, a potem możesz uciec.

— Uczynię czego żądasz, ale człowiek nawet pojedynczy może mieć odwagę lwa i niedać się ująć....

— To już moja rzecz, odparł ze śmiechem Darrell, ubieraj się tylko prędzéj zanim sprowadzę policję.

Nie tak łatwo było, jak się zdało, uzyskać rozkaz pojmania. Zmierzchać się już poczęło gdy Darrell powrócił z dwoma pomocnikami do mieszkania swego krewnego. Zastał go już ubranym i uzbrojonym w pistolety, których użyć wcale nie umiał, nadto jeszcze olbrzymia szabla przypasana do boku, wlokła się za nim.

Darrell odjął szablę niepotrzebną zupełnie i zaspokoił Ringwooda obietnicą że nie opuści go w razie niebezpieczeństwa, potem zaś wsiadł z nim i dwoma policjantami do zamkniętego powozu i wyruszyli wszyscy wskazaną drogą.

Pokazało się wkrótce że Ringwood był najgorszym przewodnikiem, bo najpierw chciał jechać do Chelsea przez rogatkę Tyburn i ledwo mu wyperswadowano że Ranelagh i Cheyne-Walk w innéj leży stronie. Następnie dręczył jeszcze długo biednego woźnicę, żądając aby skręcał w tę i w ową stronę, aż wreście Darrell zniecierpliwiony kazał jechać prostą drogą do Cheyne-Walk, wtedy brat Emilji w paroksyzmie złego humoru, wcisnął się w głąb powozu, wołając że z niego żarty stroją biorąc go za przewodnika, a wzbraniając jechać tam gdzie zechce. Podobna scena powtórzyła się gdy wysiedli w miejscu przeznaczenia swego, Ringwood niewiedział bowiem w którą udać się stronę.

— W ogóle niepamiętam nigdy dobrze drogi, mówił do zniecierpliwionego jego

głupotą Darrell'a, a potem byłem tu w nocy w liczném i wesołém towarzystwie, więc mało zwracałem uwagi na otaczające mię przedmioty.

Przyszło wtedy na myśl Darrellowi, aby go prowadzić z kolei po wszystkich bocznych uliczkach téj części miasta; pomysł ten udał się wybornie, bo po długiéj kręcaninie Ringwood schwycił za klamkę drzwi niewielkiego domku, wołając że są w miejscu. Tyle razy już przed tem zwiódł swych towarzyszów wskazując fałszywie drogę, że i tą razą nie dowierzali mu jeszcze.

— Czy jesteś pewien że dom ten poznajesz? rzekł Darrell.

— Jak to czy jestem pewien? ależ to mię obraża, bo ja się nigdy nie mylę, zawołał gniewnie, zapominając że zmylił się niedawno przeszło dwadzieścia razy w ciągu jednéj godziny. Powiadam wam, ciągnął daléj, że to jest dom w którym widziałem Jerzego Duke, możecie wejść, co do mnie ponieważ byłem przyjacielem sir Lovela, niewypada mi się przedstawiać w podobnéj chwili, wolę więc pozostać za drzwiami.

Wyraziwszy w ten sposób swe uczucia honorowe, usunął się na bok zostawiając wolne przejście policjantom i Darrell'owi. Noc była ciemna i mglista, Darrel kazał się usunąć na bok obu ludziom i sam zakołatał do drzwi. Służąca która zaraz otworzyła ze świecą w ręku, na zapytanie o sir Lovela, odpowiedziała że tenże wyjechał z przyjaciołmi i że dom jest do odnajęcia.

— Czy wiesz gdzie się udali? zapytał Darrell.

— Zdaje mi się że w okolice Dovonshiru, lecz nie jestem pewną, jeżeli pan sobie życzy, to zapytam o to méj pani.

Darrell'owi ta wiadomość stała się zupełnie obojętną, w chwili gdy starania jego obecne żadnego nie odniosły skutku. Miał już odchodzić gdy zwrócił się i zapytał jeszcze:

— Powiedz mi jak wyglądał lokaj sir Lovela?

— Był to człowiek bardzo nieprzyjemny, zawsze zły i chmurny.

— Czy wiesz jak się nazywał?

— Pan jego zwał go Jeremiaszem, inni zaś panowie do tego nazwiska dodawali przydomek *opryskliwego*, bo rzeczywiście człowiek ten był zawsze w złym humorze dopóki się nie upił.

— Czy był przystojny?

— O! tak, przyjemnie nawet było patrzeć na twarz jego, lecz mimo to dla swéj opryskliwości, nie mógł być cierpianym w towarzystwie poczciwych ludzi.

Po téj indagacji wcisnąwszy pieniądz w rękę służącéj, Darrell życzył jéj dobréj nocy i oddalił się zasmucony.

— Czy to w istocie ten sam dom? rzekł jeden z policjantów wychylając się z ukrycia.

— Tak znaleźliśmy gniazdo, lecz ptaki nam uciekły, możecie powrócić do siebie moi przyjaciele, bo niestety! niewprowadziemy w wykonanie rozkazu pojmania kapitana Fanny dzisiejszéj nocy.

Ringwood czekał dość cierpliwie na drugim końcu ulicy. Uśmiechnął się złośliwie dowiadując o bezskuteczności poszukiwań krewnego.

— Spodziewam się mimo to, wyrzekł, że będziesz mi wierzył zawsze odtąd, skoro dobrze dom wskazałem.

— Tak, to był ten sam dom, odparł z nieukontentowaniem Darrell, ale cóż mi przyszło z tego? Czyż mogę być pewien że ten opryskliwy lokaj był w istocie Jerzym Duke? że nie omyliłeś się znowu na karb jakiegoś urojonego podobieństwa?

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

W siedm lat potém.

Gwiazda Ringwooda Markhama świeciła jeszcze czas jakiś w stolicy, w końcu jednakże worek jego wypróżnił się zupełnie, a zdrowie tak podupadło, że nie pozostało mu nic innego, jak powrócić do Compton i zamieszkać tam w domu ojcowskim, wraz ze starą gospodynią i dwoma fornalami od pługa w miejscu lokai. Stara gospodyni pozostawała w Compton od czasu jak pozamykano okiennice i drzwi zamku, a pająki snuć poczęły przędzę swą na starych obrazach, przedstawiających z dawna zmarłych członków rodziny Markhamów. Życie téj kobiety upływało wygodnie i spokojnie podczas gdy Ringwood hulał w Covent-Garden, była więc bardzo nie zadowolnioną, gdy pewnego mglistego jesiennego wie-

czora, młody dziedzic wszedł do jéj izdebki i z kwaśną miną oznajmił że przybywa zamieszkać w zamku. Przybycie jego nie zmieniło jednakże zwyczajów domu, odemknięto tylko okiennice pokojów, w których stary Markham pijąc i paląc fajkę przygotowywał się do zgonu. Ringwood zamieszkał tam, nieuznał jednak za stosowne odwiedzić mieszkańców Compton, ci zaś nie wiedząc o jego stratach majątkowych, w prostocie ducha wzięli go tylko za dziwaka i skąpca. O zmierzchu zazwyczaj młody dziedzic szedł wypić szklankę ponczu w gościnnéj oberży Sary Pecker, tam więc otaczano go składając mu hołdy, jak to niegdyś czyniono ojcu jego, wtedy gdy mu przyszła fantazja wystąpić pod Czarnym Niedźwiedziem. Wkrótce uczuł Ringwood że wieśniacy więcéj warci byli od przyjaciół londyńskich, wypróżniających tylko kieszenie i natrząsających się z jego osoby, czuł się zatem daleko swobodniejszym aniżeli w Beedfort-Street. Od jakiegoś czasu pędził tam życie tak smutne, że teraźniejsze otoczenie wcale mu przykrém nie było. Emilja widywała rzadko brata, wstępował do niéj niekiedy przechodząc, zatrzymywał się tylko na kilka minut, bo towarzystwo siostry nudziło go śmiertelnie. Wszedłszy zaczynał wkrótce ziewać, całował ją w czoło i wychodził życząc dobréj nocy. Idąc wolno do mieszkania Sary, wywijał lekko trzcinową laseczką i cieszył się wrażeniem jakie czynił na dzieciach wiejskich i kobietach, które czas traciły na rozmowach w progu domu. W Londynie jeszcze przyobiecał Darrellowi, że nie wspomni Emilji o spotkaniu z jéj mężem, czy téż z jego cieniem i dochował wiernie milczenia. Ludzie miejscowi którzy znali szczegóły spotkania Darrella z rozbójnikiem na drodze do Marley i wiedzieli również przygodę Emilji z cieniem męża; powiadali że kapitan Sępa miał *sobotwóra* który się pokazywał jego krewnym, za każdą razą gdy nieszczęście jakie groziło Jerzemu Duke; szeptano po cichu że podobne wypadki nie raz się trafiają w świecie, jakkolwiek proboszcz im zaprzecza „niech sobie mówi zdrowo co chce, a duchy jak były tak będą i cała jego łacina niezatopi ich w morzu czerwoném“ dodawano jeszcze.

Rok upływał za rokiem, a Jerzy Duke nie dawał znaku życia. Emilja lubo niechciała przywdziać żałoby, uwierzyła wreście że węzeł którym związaną została mimowolnie, zerwany został potężną dłonią śmierci. W pierwszych chwilach powrotu Ringwooda, sądzono że młody dziedzic ożeni się jak to niegdyś uczynił jego ojciec i niejedna z córek bogatych dzierżawców z okolicy, stroiła się piękniéj niż zazwyczaj w nadziei podbicia jego serca. Ale serce to nie było fortecą łatwą do wzięcia, bo samolubstwo rozgościło się w niém wielmożnie, po krótkich chwilach panowania marnotrawstwa i rozrzutności. Ponieważ położenie majątkowe młodzieńca polepszyło się znacznie teraz, skutkiem życia odosobnionego jakie pędził, coś nakształt skąpstwa na wskróś go przejęło. Stracił już tak wiele pieniędzy z niewdzięcznikami którzy go oszukiwali, że nauczył się rozumu na przyszłość.

Dzierżawcy i koloniści z Compton zaczynali się uskarżać że pan Ringwood był dziedzicem bardzo twardym i gorzéj od ojca zdzierał biednych ludzi. Rzeczywiście, w miarę jak worek Ringwooda napełniał się, czuł on niejako potrzebę zbierania pieniędzy, niezdając sobie sprawy w jakim to czyni celu. Nie zastanawiał się bowiem nad niczém, czasami tylko gdy dął silny wiatr od północy a policzki jego ożywiały się niby wypalonym rumieńcem, myślał z trwogą, czy klimat w którym przebywa nie za ostry dla niego i czy czasem nieodziedziczył po matce skłonności do piersiowéj choroby. Rzadko jednakże kiedy zamyślał się nad tém, gdyż ciągle był zajęty gospodarką i rolą, sam dozorując wszystkiego. Zbiory w krajach północnych kończą się zazwyczaj o późnéj jesieni, po wyjeździe kapitana Sępa, pora była ostra i dżdżysta, Ringwood niedowierzając nikomu sam czuwał ciągle w polu nad zbiorem zboża i gorzko to opłacił, dostał bowiem z przeziębienia silnego kataru z gorączką i musiał w łóżko się położyć. Na pierwszą wieść o chorobie brata, Emilja pobiegła czuwać nad nim z niezrównaną słodyczą i cierpliwością. Ringwood słaby zarówno na duszy jak na ciele, przywiązał się wtedy do niéj jak chore dziecię do matki, budził się wśród

nocy wołając aby do niego przyszła i nieuspokoił się dopóki jéj nie ujrzał. Usypiał wtedy trzymając jéj dłonie w swych rękach i skłaniając głowę na jéj ramieniu.

Doktór z Compton pokiwał znacząco głową skoro wyegzaminował młodego dziedzica i przyjrzał się gorączkowym jego rumieńcom. Emilja niezadowolniona z jego wyroku posłała po lekarza do Marley, lecz i ten potwierdził tylko zdanie kolegi. Niebyło nadziei wyzdrowienia dla Ringwooda. Zwano jego cierpienie kaszlem kokluszowym, spasmatycznym, zapaleniem płuc, niszczącą gorączką, nie było to jednak nic innego nad suchoty, które matkę jego w podobny sposób wpędziły do grobu. W posępném milczeniu bezsennych nocy, gdy piękne oblicze Emilji pochylone było nad jego łożem w bladém świetle lampy, Ringwood rozpamiętywać począł całe swe ubiegłe życie, nienaznaczone żadnym szlachetnym ani użytecznym czynem, a więc grzeszne tą bezużytecznością.

— Jakże ona piękna, pomyślał jedną razą spoglądając na siostrę, lecz cóż za wyraz smutku w jéj oczach... Ach! bo jakże też mało radości w jéj życiu, od czasu gdy dziecięciem jeszcze igrała tu z Darrellem, zanim kapitan Duke pojawił się w zamku. Przypomniał sobie potem jak namawiał ojca, aby niezważał na prośby i płacze młodéj dziewczyny, a wydał ją za kapitana, przypomniał sobie także że czynił to w chęci ukarania Darrella za swoją urazę....

— Emiljo, Emiljo! zawołał nagle.

— Jestem tu, odpowiedziała, czy nie śpisz Ringwoodzie?

— O! i od dawna!

— Oddawna mój biedny bracie?

— Lepiéj obudzić się czasem, aniżeli raptem przejść ze snu do śmierci, wyszeptał chory, myślałem Emiljo.....

— No, o czémże mój drogi?

— Myślałem jak byłem złym bratem dla ciebie.

— Złym bratem? o nie! nie Ringwodzie, rzekła przyklękając Emilja i zarzucając ręce około jego ramion.

— Tak Emiljo, byłem złym.... bo dołożyłem starań wszelkich, abyś poślubiła człowieka którego nienawidziłaś, rozdzielając cię z Darrell'em zaprawiłem goryczą najpiękniejsze dni twego życia.... a ty mimo to wszystko pilnujesz mię po całych dniach i nocach z taką dobrocią, jak gdybym się do szczęścia twego przyłożył!

— Dawno już wybaczyłam ci wszystko, mój kochany Ringwodzie, źleby było bardzo gdyby siostra, chowała w sercu urazę do brata za dawne strapienia. Zapomniałam o nich gdy teraz życie moje płynie cicho i spokojnie i skoro zdaje mi się że sam Bóg rozwiązał krępujący mię tak boleśnie węzeł.

— Po mojéj śmierci będziesz prawie bogatą Emiljo, rzekł Ringwood weselszym głosem. Przez ostatnie lat pięć urządziłem tu wszystko lepiéj i znajdziesz worek pełen pieniędzy w szufladzie do któréj składam rachunki i papiery moje. Sądzę że będziesz mogła polegać na Džonie Martin, Lawsonie i Tomaszu, co do gospodarstwa, którém się musisz zająć po mojéj śmierci. Twoje położenie zmieni się na lepsze, gdy opuścisz swój skromny domek aby tutaj zamieszkać.

— Ringwoodzie, Ringwoodzie! nie mów mi o tém.....

— Ależ człowiek umierający powinien wspomnieć o wszystkiém co mu na sercu leży.... musisz mi jeszcze uczynić obietnicę i dotrzymać jéj święcie.

— Uczynię wszystko czego tylko pragnąć będziesz.

— Wiem o tém, powiedz mi więc najpierw jak dawno odjechał kapitan Duke?

Usłyszawszy imię męża, Emilja sądziła że Ringwood mówi w gorączkowém marzeniu, odparła jednak łagodnie:

— W przyszłym miesiącu styczniu skończy się lat siedm jak jest nieobecnym.

— Tak mi się też zdawało. Otóż skoro się ten miesiąc zbliżać będzie do końca, pragnę abyś pojechała do Londynu i zawiozła odemnie list do Darrell'a.

— Zrobię jak zechcesz, ale czemu aż w styczniu, czemu nie wcześniéj?

— Ot tak, zwyczajnie, jest to kaprys chorego, listu tego nie napisałem jeszcze, lecz daj mi pióro i papier to go napiszę zaraz.

— Jutro kochany bracie, napisz jutro, dziś za nadto już zmęczony jesteś, bo mówiłeś za wiele....

— Nie, muszę napisać koniecznie w téj chwili, inaczéj dostałbym gorączki z niespokojności, zresztą to będzie zaledwie kilka wierszy.

Niechcąc drażnić chorego, biedna Emilja podała mu wszystko co było potrzebném do napisania listu i ułożywszy poduszki tak aby niedoznał zbyt wielkiego utrudzenia siedząc, usunęła się na bok. Czytelnik już wie jak ciężko przychodziło Ringwoodowi napisać cośkolwiek, namęczył się téż teraz niemało, w końcu jednakże odczytał list swój z widoczném ukontentowaniem, zapieczętował go czerwonym lakiem wielką pieczęcią herbową Markhamów i za adresował nie bez licznych kleksów:

Panu Darrellowi Markham
oddać ma Emilja Duke w końcu Stycznia 17.... *roku.*

— Dokuczyłem wiele Darrell'owi, rzekł oddając list siostrze, to pismo jednakże może mu wszystko wynagrodzić, jest to mój testament, nic innego, gdyż ty jesteś jedyną moją spadkobierczynią.

— Więc zapisujesz coś Darrellowi?

— Nie zapisuję nic prócz tego listu, który mu przyrzekłaś doręczyć.

. . . .

Mistress Sara czuwała często wraz z Emilją przy łożu chorego i była obecną w chwili, w któréj tenże staczał ostatnią walkę życia ze śmiercią. Dwa kochające i przyjacielskie oblicza pochylały się wtedy nad łożem Ringwooda, dwa słodkie głosy przemówiły do jego duszy i lepiéj mu było bezwątpienia tak umierać, aniżeli wyzionąć ducha na posypanéj piaskiem podłodze szynkowni, jak słynni zawadjacy z Covent-Garden i z Pall-Mall, których tak naśladować lubił.

ROZDZIAŁ DWÓNASTY.

Kapitan Fanny.

Sześć lat upłynęło od chwili w któréj kramarz wędrowny okradzeniem Sary, spowodował tak stanowczą zmianę w jéj postępowaniu z mężem. Betty znów jak wtedy zajętą była skubaniem drobiu, a mistress Pecker wałkowała na stolnicy ciasto na strudle; olbrzymi piec rozpalony do czerwoności, wyglądał jak wspaniała otchłań z któréj sypały się przysmaki, jako to wielkie chleby pięknie wypieczone, pasztety i drobne paszteciki, które rzucano bez ceremonji na stół aby tam ostygły. Oczekiwano znów jak niegdyś posłańca z bakaljami i korzeniami z sąsiedniego miasteczka, a miłe zapachy cytryn i araku, dolatywały z na wpół uchylonych drzwi wielkiéj gościnnéj sali. Mimo to wszystko, ważne zmiany zaszły pod Czarnym Niedźwiedziem, jakto już wspomnieliśmy. Głos i całe obejście Sary stało się dziwnie łagodném i słodkiém, wspaniałe jéj poruszenia cechowała teraz jakaś nieśmiałość, zdawało się że jest pod wpływem ciągłego niepokoju i trwogi, któréj nikt nie odgadywał przyczyny. Zdarzało się nieraz że Samuel, aby rozerwać swoją strapioną małżonkę, nalewał jéj szklaneczkę ponczu, lub kazał gotować ulubione potrawy na wieczerzę. Gdy tak rzecz się miała z Sarą, położenie jéj zacnego małżonka polepszyło się niezmiernie. Nie lękał się on już ani gości, ani swego własnego głosu, nie drżał i nie rumienił się ilekroć wszczęto z nim rozmowę i pijąc szklankę piwa, nie spoglądał nieśmiało do koła; być może tylko że zawsze lękał się trochę duchów, bo stąpał nieśmieléj gdy pociemniało, chociaż stał się odważnym jak lew w porównaniu do tego, czém był przed przybyciem kramarza i omdleniem Sary. Obecna wigilja Bożego Narodzenia była bardzo wesołą pod Czarnym Niedźwiedziem, gdyż przybyło niespodziewanie kilku podróżnych panów z okolicy Jork i zabawić mieli następny dzień cały. Indyk który spoczywał martwy na kolanach Betty, dla nich był przeznaczony, teraz zaś jedli obiad w białéj sali na pierwszém piętrze, w któréj przyjmowano zwykle znakomitych gości.

— Wszak prawda pani, mówiła Betty skubiąc indyka, że jeden z tych panów jest bardzo piękny? śliczne ma oczy, czarne jak węgiel, a przejmujące jak błyskawica! ręce zaś jego tak białe i drobne jak ręce mistress Duke, pokryte są całe djamentowemi pierścieniami. Zdaje się że drudzy obawiają go się, bo gdy dwóch chciało jechać po obiedzie, on oświadczył że pozostanie jeszcze tutaj, jeden z nich zapytał wtedy po cichu: czy miejsce to jest dobrém.... nieusłyszałam reszty lecz on odpowiedział

głośno: jesteś łotrem i niezasługujesz aby się znajdować w dobrém towarzystwie, a tamten zamiast się obrazić odrzekł tylko „masz rację kapitanie,“ wprawdzie uderzył przy tém w stół szklanką i zaklął okropnie. Podczas gdy kucharka zabawiała tém opowiadaniem panią, ukazał się we drzwiach Samuel.

— Saro, rzekł, ci panowie obiadujący w białéj sali są bardzo hałaśliwemi gośćmi, może będziesz tak dobrą i pójdziesz poprosić aby się zachowywali ciszéj. Możesz się ogarnąć trochę zanim z piwnicy powrócę, bo muszę tam pójść po wino które sobie przynieść kazali.

Sara zgodziła się na życzenie męża, umyła ręce, poprawiła czepek, włożyła mitenki i była już gotową w chwili gdy Samuel powrócił, niosąc z każdéj strony po dwie opleśniałe butelki pod pachą.

— Ja zaniosę butelki, ty zaś weź kieliszki, rzekł jeszcze do żony.

Trzéj podróżni w białéj sali byli rzeczywiście bardzo hałaśliwi, siedzieli teraz około stołu pokrytego orzechami, figami i skórkami z pomarańcz, wśród których błyszczały dwa ciężkie srebrne świeczniki, oraz rzęd wypróżnionych szklanek i butelek. Jeden z gości założył nogi na stół i rzucał łupinami na towarzysza, siedzącego naprzeciw z głową pochyloną na ręce, w zupełnym stanie odrętwienia skutkiem pijaństwa, trzeci tylko podróżny zachował zupełną przytomność i opowiadał głośno jakąś wesołą anegdotę, w chwili gdy weszła mistress Pecker. Czarne jego oczy i drobne białe zęby, dziwnie odbijały od oblicza napiętnowanego przedwczesną starością, która wyryła już nie jednę zmarszczkę na czole sir Lovela Mortimer, czyli raczéj *kapitana Fanny*, sławnego wówczas złodzieja i rozbójnika. Bóg raczy wiedzieć czemu widok gości przeraził Sarę, lecz to pewno że zbladła jak śmierć, gdy spotkała wejrzenie kapitana Fanny. Mówiliśmy już że wejrzenie to było dziwném w istocie, cechowała go jak gdyby tajona w głębi duszy trwoga, która wyzierała z po za zasłony śmiałości. Pod szczególném wrażeniem tego na wskróś przenikającego spojrzenia, Sara upuściła na ziemię jednę ze swych najpiękniejszych szklanek, która potoczyła się z łoskotem. Oczy kapitana zwróciły się wtedy badawczo na mistress Pecker, ta zaś niby przykuta magnetyczną siłą, śledziła wszystkie ich ruchy, dopóki Mortimer mówić nie zaczął.

— Wszak to gospodyni Czarnego Niedźwiedzia zaszczyca nas usługą swoją, rzekł grzecznie, spoglądając po palcach pokrytych pierścieniami.

Ten wspaniały kapitan był po prostu młodzieniaszkiem drobnym i nędznym i nadrabiał tylko wielką żywością ruchów.

W każdym innym razie Sara byłaby się skłoniła pięknie i poprawiwszy muślinowego fartucha, zapytałaby grzecznie, czy jéj goście zadowolnieni z obiadu, z mieszkania, z trunków i t. p., ale tego wieczora stała jakoby oniemiała od magnetycznego wzroku kapitana.

— Tak, wyjąknęła wreście, jestem Sarą Pecker..

— Zdajesz się być osobą bardzo grzeczną i przyjemną mistress Pecker, rzekł kapitan tonem dumnéj protekcji, zalecasz najlepiéj twą oberżę, miejscowość Compton nie jest zbyt powabną dla nieszczęśliwych podróżnych, zabłąkanych w téj smutnéj okolicy, wszak prawda panowie? dodał zwracając się do swych towarzyszy.

Sara nieczuła się bynajmniéj usposobioną do słuchania pogardliwéj mowy o swych stronach rodzinnych, spuszczając więc oczy, jak gdyby jéj łatwiéj przychodziło mówić nie patrząc na Mortimera, odrzekła z godnością:

— Compton jest ustroniem odległém o tydzień drogi od Londynu, mimo to jednakże okolice ma przyjemne, czego najlepszym dowodem, że zamieszkują w nich możne i szlachetne rodziny.

— Nie daleko ztąd wśród pięknego lasku, rzekł kapitan, wznosi się wielka czworoboczna dość smutna budowa, w któréj prawie wszystkie okiennice zamknięte, czyjąż ona jest własnością?

— To zamek Compton należący do pana Ringwooda Markham.

— Czy do tego ładnego chłopca, o błękitnych oczach i wysmukłéj postawie?

— Tak jest panie.

— Znałem go w Londynie przed sześcią laty.

— Być może, biedny chłopiec mieszkał dawniéj w Londynie, co mu wcale na dobre nie wyszło, trzy tygodnie mija właśnie jak umarł.

— Więc Compton było jego własnością?

— Tak panie, wraz z wioską która przynosiła piękny dochód.

— I któż to wszystko odziedziczył?

— Jego siostra miss Emilja.... czyli raczéj mistress Duke.

— Mistress Duke? żona kapitana Jerzego Duke?

— Wdowa kapitana Duke panie.

— Jak to wdowa? więc kapitan umarł?

— Nieulega żadnéj wątpliwości że umarł, skoro od lat siedmiu jak opuścił Marley, nie było żadnych wieści o nim, ani o statku jego *Sępie*.

— Więc wdowa Jerzego Duke odziedziczyła tak znaczną posiadłość?

— Mogę panu zaręczyć, że tak jest w istocie.

— A jedynym dowodem śmierci kapitana, jest nieobecność jego od lat siedmiu?

— Zdaje się że trudno znaleźć nadto lepszego dowodu.

— Czy tak? rzekł śmiejąc się Lowel, widziałem w mojém życiu tyle nadzwyczajnych wydarzeń, że wtedy tylko wierzę śmierci człowieka, skoro go na własne oczy ujrzę w trumnie, a czasem jeszcze zjawiają się ludzie tak nadzwyczajni, że choć trumna zabita i grób ziemią zasypany, spotkać się z niemi można u bram cmentarza. Świat jest tak obszerny po za obrębem Compton, że niedziwiłbym się wcale, gdyby kapitan Duke ukazał się dziś lub jutro, aby zabrać swą żonę wraz z jéj posiadłością.

— Niedałby tego Bóg, rzekła mistress Pecker poważnie. Nie życzyłam nikomu źle, ale gdyby biedna Emilja miała znów być nieszczęśliwą przez powrót męża, wolałabym raczéj aby tenże wraz ze swoim *Sępem* zatonął na szerokiém morzu.

— Otóż to co się nazywa życzenie pobożne, mówił znów ze śmiechem Mortimer, lecz ponieważ nie znam tego pana, mogę śmiało dodać: amen. Co zaś do dowodu śmierci jaki przedstawia nieobecność lat siedmiu, na ten się nigdy niezgodzę, niespodziewałem się nawet aby osoba tak rozsądna jaką się być wydaje mistres Pecker, mogła coś podobnego twierdzić. Siedm lat nie jest tak długim przeciągiem czasu, wszak widywano mężów którzy powracali po latach siedmnastu!

Mistress Pecker nic nie odrzekła tylko mocno pobladła, nikt jednak nie dostrzegł tego, bo pochyliła się po nad stołem zbierając do koszyka szklanki z wina. Gdy wyszła a trzéj młodzi ludzie pozostali sami, kapitan Fanny rozśmiał się głośno.

— Co za nowina! zawołał, kapitan Jerzy Duke nieżyje, a żona jego dziedziczy piękną posiadłość, gdyby ten przeklęty Jeremjasz nie opuszczał nas pokłóciwszy się, co za śliczny mógłby teraz zrobić interes!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Koniec Stycznia.

Kapitan Fanny czyli raczéj sir Lovel Mortimer, w dniu następnym dopiero opuścił oberżę pod Czarnym Niedźwiedziem. Wyjechał wesoło wraz z przyjaciołmi, przy blasku grudniowego słońca, oświadczywszy swe zadowolnienie mistress Pecker za przyjęcie jakiego doznał i obdarzywszy hojnie całą służbę. Wszyscy też ludzie w oberży mówili po jego odjeździe że był piękny, szlachetny i wspaniałomyślny jak książe, rozrzucając tak hojnie złote i srebrne pieniądze, monetę która kiedyś była w użyciu, lubo jéj strasznie brakło w obecnych czasach. Przesadne ruchy barona musiały być niezawodnie arystokratyczne, był to bezwątpienia prawdziwy szlachcic staréj daty, mimo młodego wieku, a oczy jego czarne i niespokojne, błyszczały jak gwiazdy odbijające się o północy, na dnie rozhukanego morza i były równie straszne jak to odbicie. Być może że nie powtarzam wam dosłownie tego co wyrzeczono w kuchni Czarnego Niedźwiedzia, lecz to pewno że taką była treść rozmowy służby Sary Pecker o sir Lovelu. Kucharka tylko Betty odezwała się niefortunnie co do oczów barona i wyśmianą została przez wszystkich. Uczyniła bowiem bardzo niemądrą uwagę, że oczy sir Mortimera, przypominają jéj wieczór w którym kramarz ukradł łyżki srebrne, zagadniona je-

dnak dowcipnie, czy oczy te przypominają jéj kramarza, czy rzecz skradzioną, nie umiała nic innego powiedzieć nad to, że cały ten wieczór stanął jéj w pamięci gdy ujrzała młodego barona. Szlachetne przymioty wspaniałego podróżnika, tak mocno przez dni kilka zajmowały ludzi z oberży, że uwiadomienie o bardzo śmiałéj kradzieży nocnéj w Carlisle popełnionéj w dniu następnym, nie zrobiło na nich żadnego wrażenia, równie jak wieść o rozbiciu dyliżansu z Jork, która doszła ich uszu we dwa dni po odjeździe sir Lovela. Nic z resztą nie było dziwnego w tém zajęciu się bogatym baronem, którego zjawienie w oberży było daleko rzadszym wypadkiem, niż kradzież na gościńcu królewskim, wydarzająca się codziennie prawie. W owych czasach w Londynie chodzono co poniedziałek przypatrywać się wykonywaniu kary śmierci w Tyburn. Złodzieje którzy już z dawna porzucili swe rzemiosło, odnajdywali wtedy swych dawnych przyjaciół na szubienicy, na któréj też wieszano bez miłosierdzia i dzieci, za kradzież przechodzącą wartość trzech groszy. Okrucieństwo podobne pochodziło z niezrozumienia prawa, którego trzymano się ściśle nie ducha, lecz martwéj litery. Podczas gdy weselono się pod Czarnym Niedźwiedziem z przybycia podróżnego barona, Emilja piękna i blada w swéj żałobnéj sukni, siedziała w smutnym zamku Compton nad rachunkami gospodarczemi, które starała się zrozumieć. Gdyby nie Sara Pecker, być może że Emilja wyrzekłaby się dziedzictwa które jéj przynosiło niejaki trudy, a powróciwszy do swego ustronnego domku, oczekiwałaby przyjazdu kapitana, lub innego jakiego niefortunnego wypadku, któryby ją o śmierć przyprawił. Ale Sara objęła za nią rządy wszystkiego i pokazała się tak umiejętną i zręczną, że ludzie miejscowi podziwiali jéj intelligencję, Emilja zaś wyznać musiała w duszy, że bez téj szacownéj przyjaciołki, niebyłaby sobie dała nigdy rady. Mistress Pecker kazała przy sobie odczytać testament, w którym Ringwood i dla niéj zapisywał w dowód pamięci, żałobny pierścionek na włosy i pięćdziesiąt gwineów; zrozumiała ona lepiéj może to pismo, aniżeli rejent który je zredagował, wyjaśniła wszystkie punkta zawiłe i w końcu tak ułożyła wszystko, że Emilja została panią wcale pięknego dochodu, z którym pomiędzy mieszkańcami wioski, uchodzić mogła nawet za bogatą. Zamek z czerwonéj cegły o wielkich dębowych schodach, szerokiéj kamieniami wykładanéj sieni i starożytnych ozdobach z czasów Tudorów, był jéj własnością wraz z ogrodem na wpół zdziczałym, mogła tam mieszkać samotna i swobodna, jeżeliby kapitan okrętu Sępa niepowrócił. Na myśl samą możności powrotu męża, dreszcz zimny ją przechodził. A gdyby też powrócił — gdyby po tych długich latach próżnego a pełnego obawy wyczekiwania, powrócił teraz gdy się już powrotu jego obawiać przestała, tak się jéj niepodobnym zdawał? — Gdyby powrócił zabrać ją do siebie i dręczyć jak pierwéj, mając moc po temu w obliczu prawa? Cóżby uczyniła wtedy? — Myśl ta przyprawiała ją prawie o obłąkanie, zdawało jéj się że widzi już w progu kapitana Sępa spoglądającego na nią i padała na kolana błagając Boga, aby jéj wpierw umrzeć pozwolił, aniżeli doczekaćby miała podobnéj chwili. Zachowała wiernie brylantowy kolczyk spełniając święcie wolę męża, lecz mimo że nie życzyła nic złego Jerzemu Duke, niepragnęła nigdy ujrzeć drogiego klejnotu danego mu na pamiątkę. Nie chciała aby jéj mąż umierał, pragnęła tylko aby nie powracał do niéj i byłaby na ten cel ofiarowała całą swą posiadłość w Compton. Jak to już mówiliśmy Emilja była jedyną osobą w Compton która wątpiła o śmierci kapitana. Wszyscy z resztą nie przypuszczali nic innego, jak że zginął zatopiony w morzu, lub przebity szpadą francuza, albo szablą maurytanina, co z resztą wszystko było bardzo prawdopodobném, skoro domyślano się jego prawdziwego rzemiosła. Spotkanie Emilji z cieniem męża potwierdziło jeszcze niejako domniemanie o śmierci jego.

Emilja pokazała swéj wiernéj przyjaciółce list Ringwooda do Darrella, obie kobiety przyglądały mu się z wielką ciekawością i rozmyślały nie raz nad tém co mógł zawierać; ponieważ wola umierającego była świętą dla mistress Duke, posta-

nowiła więc odprawić podróż do Londynu w końcu Stycznia. Za wyjątkiem krótkiéj przejażdżki do Jork, Emilja nie opuszczała nigdy Compton i przerażała się na myśl zwiedzenia wielkiéj stolicy, w któréj pobyt napełniał ją niezrównaną trwogą. W dzisiejszych czasach, pewno żadna angielka nie obawiałaby się równie podróży do Kalkuty jak Emilja jazdy do Londynu.

— Spodziewam się miss Emiljo, że niepojedziesz sama jedna w odwiedziny do Darrella, zapytała jéj pewnego dnia Sara.

— Ale któżby mi chciał towarzyszyć kochana Sally.

— Doprawdy? zapominasz widzę o Sarze Pecker, która cię doglądała małém dziecięciem. Czyż mogłabym puścić cię samą? niejechać z tobą?

— Ty Sally?

— Tak jest ja sama. Mogłabym wprawdzie wysłać cię z Samuelem, bo podróż w towarzystwie mężczyzny jakoś lepiéj wygląda, możnaby nawet na tę drogę ubrać go w starą liberję rodziny Markhamów i przedstawiałby wtedy lokaja twego, ale niechże Bóg broni abym miała oddawać cię w opiekę memu biednemu mężowi, wyglądałby on prawdziwie w Londynie jak owca zbłąkana. Niemogę go nawet posłać za sprawunkami do najbliższego miasteczka, bo przywiezie mi niezawodnie suchych rodzenków, zamiast cukru, lub dozwoli okraść sobie kieszenie! Tak miss Emiljo, Samuel jest najlepszym człowiekiem, lecz niepotrzebujesz brać dziecięcia które samo sobie poradzić nie umié, potrzebujesz towarzyszki któraby ci dopomogła do wyszukania Darrella i do wszelkich innych interesów.

— Moja droga, moja dobra, moja kochana Sally! ale jakże dadzą sobie radę pod Czarnym Niedźwiedziem pod czas twéj nieobecności? podróż moja do Londynu zajmie przynajmniéj dwa tygodnie.

— Będę się starać poradzić sobie, z resztą jeżeli się wkradnie jaki mały nieporządek, to rzecz niewielkiéj wagi, nieraz nawet myślę sobie, że wszystko u mnie za nadto dobrze idzie, że ludzie moi przesadzają się w tém aby mi wiernie służyć.

Sara tak stanowczo zdecydowaną była towarzyszyć swéj pani, że Emilja przyjęła w końcu jéj ofiarę. Mistress Pecker zajęła się natychmiast przyborami podróży. Przystroiła zgrabnie czarną krepą kapelusik Emilji, wyciągnęła ze staréj skrzyni jéj matki naszyjnik i bransolety z czarnéj lawy, w które umyśliła przystroić swoją wychowankę.

— Czarne ubranie bardzo dobrze przypada do twéj białéj cery miss Emiljo, mówiła, niepotrzeba téż aby znaleziono żeś się zmieniła, nasz Darrell nie powinien wstydzić się swéj krewnéj w obec pięknych pań londyńskich; mistress Sara Pecker miała wstręt wrodzony do wszystkich pięknych mieszkanek stolicy, które oznaczała ogólną nazwą *pań londyńskich*. Sądziła że są to istoty głęboko zepsute, które się ubierają jedynie w celu bałamucenia młodych ludzi z prowincji przybyłych i odciągania ich serc od pokrewnych dziewczątek o różowych policzkach, które pozostały na wsi. Wśród posępnego i mglistego poranku, obie kobiety przybyły do Londynu. Na dojezdném dopiero Sara wychyliła głowę z dyliżansu, zobaczyła w oddali jakoby ciemną massę chmur piętrzących się jedna po nad drugą i powiedziano jéj że widzi stolicę. Wysadzono podróżne wraz z małym ich tłomoczkiem, w obszernym zajeździe w Snow-Hill, służąca miejscowa przyniosła im trochę lekkiéj herbaty i na wpół z wodą rozrobionego mleka, zowiąc to śniadaniem. Podczas gdy Emilja zadrzemała, Sara starała się wytłomaczyć dziewczynie że blada pani która spoczywa w téj chwili na twardéj sofie, jest jedną z najzamożniejszych właścicielek ziemskich i że mogłaby podróżować pocztą własnym powozem z Compton do Snow-Hill, gdyby tylko chciała wyrzucać na próżno pieniądze. To zwierzenie zostało przyjęte dość zimno, co tak rozgniewało mistress Pecker, że w téj chwili pomieściła w rzędzie *pań londyńskich* służebną dziewczynę, która jéj się dość podobała z początku.

— Za nic macie jak widzę ludzi wiejskich, rzekła, a są pomiędzy niemi i tacy, coby mogli zakupić garderobę wszystkich pań miejskich i jeszczeby im po tém kupnie, wiele pieniędzy w kieszeni pozostało.

Wyrzekłszy te wyrazy z godnością, zapytała upokorzonéj, jak sądziła, służącéj, o drogę do Saint-James-Square, sądząc że

miejsce to jest w pobliżu. Służąca powiedziała że niepodobna tam iść piechotą, dla wielkiéj odległości i że należy sobie zamówić powóz lub lektykę. Sara sądziła z początku że z niéj żarty stroi, lecz zauważywszy po chwili że to być nie może, prosiła o powóz.

(D. c. n.)

O UBIORACH.

Co powiedzieć w pierwszych dniach Września nowego o ubiorach, kiedy wszyscy zaopatrzeni są na lato, a nowe mody jesienne jeszcze się nie pojawiły? Wprawdzie już p. Pękala ogłosił nowy transport towarów wełnianych po 2 i po 6 złp. łokieć nadeszły do jego magazynu, pp. Włodkowscy wyjechali téż do Paryża, aby tam poczerpnąć wiadomości o nowych pomysłach mody, ale my tu jeszcze nie wiele o nich wiemy, nosimy dawne bareże i popeliny i pełno okrągłych kapeluszy, chociaż Paryż stanowczo téj mody nie przyjął i francuzki tylko u wód i na wsi, kładą owe różnoimienne nakrycia głowy o wązkich lub zadartych rondach. Za to téż nasze zwyczajne kapelusze wiązane pod brodę, nie są tak małe jak u nich i bardziéj jeszcze do zeszłorocznych zbliżone. Fraczki, czyli przedłużone z tyłu baskiny, bardzo się też ostrożnie u nas upowszechniają, gdyż nasz ubiór przedewszystkiém znamionuje powaga. Nie można jednak zaprzeczyć że stanik z przedłużeniem, jakiego wzór dajemy na naszéj tablicy, zgrabnie przypada do niektórych figur, skoro jest zrobiony bez przesady. W Październiku zaś damy formę stanika *z prawdziwym frakiem* jako stosowniejszego do cięższych jesiennych lub zimowych sukien. Możność mieszania dwóch materjałów w jednéj sukni, bardzo odpowiada naszym wymaganiom oszczędnym. Ma kto na przykład jaką jedwabną suknię w deseń dziś nawet nie używany, z odwiecznym stanikiem, suknię kusą, lub nawet wązką, dokupuje wtedy materji tegož koloru gładkiéj i dwoma z niéj zrobionemi falbankami sztukuje spódnicę jeżeli tylko krótka; jeżeli zaś do tego wązka, można dać cały przedni bryt z dokupionéj materji i z takiéjże zrobioną wąziutką, w rurki falbanką, odgraniczyć go od odmiennych brytów, co będzie stanowiło wystrój wcale poważny. Z dawnéj materji można zrobić pewien rodzaj wyciętego u szyi a dochodzącego do pasa kanzuta, który się wkłada na stanik z gładkiemi rękawami z materji dokupionéj, lub na białą bluzkę, zwłaszcza kiedy to jest ubiór młodéj osoby. Chcąc bardziéj zastosować stanik do spódnicy, można dać przód naśladujący kamizeleczkę z dokupionéj materji, a z dawnéj, kaftaniczek zwany senoritą, rękawy zaś dosztukować wzdłuż przez środek wodą z dokupionéj materji. Można téż przydłużyć spódnicę od dołu plissą z innéj materji, wyciętą u góry w szerokie okrągłe zęby sutaszem naszyte, tudzież przedni bryt odmienny, takiemiż samemi od reszty spódnicy odznaczyć zębami.

Ciepłe i lżejsze okrycia pojawiły się już w sklepie p. Pękali. Są na różne ceny, a niektóre prawdziwie tanie.

Chociaż wróżono upadek krynolinom czyli raczéj klatkom, zawsze się one utrzymują, lubo umiarkowaniéj szerokie. Podnoszenie sukien kiedy nie ma błota, razi ciągle ludzi poważnych i słusznie. Za granicą elegantki unoszą wprawdzie na przechadzce zbyt długie suknie, ale mają spódnice z tegoż samego materjału i dostające do ziemi. Lecz podkasana suknia na kuséj klatce jest śmieszna, kiedy ją błoto na ulicy nie usprawiedliwia. Każdy mimowolnie przypatruje się z szyderstwem tym wydętym figurkom na cienkich nóżkach i przypomina się to co niegdyś za Zygmunta III pan Mieleszko poseł Mścisławski mówił na sejmie: *Heto takie miłostywyje Panowie i Bratia durnictwo nie do reczy szczo naszyje Pani w bohatych sukniach chodiat. Ne znawali peredtym etych stroiów szczo podołok kak na szrubach ruchaietsia.* I inne jeszcze tym ubraniom odętym pan Mieleszko czynił zarzuty ze względu na moralność i przyzwoitość, alebyśmy ich tu nie śmiały powtórzyć. Dodamy tylko że na błoto bierze sią małą krynolinę, a suknię najlepiéj ściągać do góry tak, żeby po dwóch jéj bokach były ukryte pod paskiem dwa guziki, do których przyczepić należy pod spodem po trzy lub cztery sznurki, według ilości brytów. Sznurki te przyszyte być winny w każdym szwie po wyżéj plissy i przewleczone przez kilka kółek przyszytych także na szwach, w pewnych odstępach. Kółka te sprzedają się w Warszawie po trzy lub cztery grosze tuzin. Gdy wypadnie unieść suknię, pociąga się za guziki, co sznurki skraca, a wtedy przy kółkach tworzą się zgrabne fałdy.

Paryż dnia 10 Sierpnia 1864 r.

Codzień się nad tém zastanawiać przychodzi, jak koleje żelazne wpłynęły na zmianę zwyczajów, a nawet charakteru człowieka. We Francji naprzykład, życie wiejskie tak jak my je pojmujemy, coraz mniéj jest znane. Niedawno jeszcze praktykowane patryarchalne życie rodzin w zamkach, nie zadługo stanie się już tylko tradycją, a chwile samotności, skupienia ducha wśród ciszy, tak niegdyś pożądane przez mędrców, dziś zdają się wstręt budzić i przerażać każdego. Wprawdzie Paryżanie, skoro im czerwcowe słońce mocno ogrzeje bulwary, wołają że trzeba uciekać przed nieznośnym gwarem i upałem miejskim, rozpierzchają się więc szukając nie ciszy, ale odmiany, znajdując po zakładach kąpielowych cały odmęt rozrywek różniących się cokolwiek od miejskich, ale nie mniéj od tamtych gwarliwych i wytchnienia nie dających. Ładne i nie ładne panie, zabierają z sobą całe paki strojów fantazyjnych, jakichby nie włożyły w Paryżu, sądzą więc że w nich wyglądać będą piękniéj bo odmienniéj, a pomimo że wyjeżdżają tak zaopatrzone, jeszcze się im trafiają *niezbędne potrzeby* sprowadzania nowych transportów. Słynny był w tym roku w Dieppe figiel, jaki wypłatała jedna angielka drugiéj, zaprosiwszy ją na bal do siebie. Zaproszona lady pojechała umyślnie do Londynu po nową suknię, zapłaciła drogo przepyszną jakąś materję i wymogłszy na kupcu przyrzeczenie że drugiéj sukni z téj samėj sztuki przez pewien czas nikomu nie sprzeda, wyjechała uradowana sposobiąc się do świetnego wystąpienia. Wkrótce w tym samym sklepie zjawia się dama co miała u siebie przyjmować, domyśla się tajemniczego użytku materji, któréj kupiec wzbrania się jéj sprzedać na suknię, daje mu słowo że zupełnie na co innego użyć ją myśli i przemogłszy jego skrupuły, uśmiechnięta, całą sztukę zabiera. W wieczór balu zaczynają się zjeżdżać goście, wśród innych wchodzi tryumfującym krokiem wspomniona dama, w sukni którą sądziła jedyną; jakaż była gorycz jéj zdziwienia, gdy w salonie gospodyni zastała wszystkie meble takąż samą obite materją.

Nie tylko w zakładach nadmorskich bawią się w taki wykwint i tak licznie się zbierają. Pełno osób podąża do Sabaudji, a u Pirenejskich źródeł nie mniéj ich szuka zdrowia i wytchnienia wśród nieprzerwanego rozrywek szeregu. Dowiadujemy się téż o coraz nowych miejscach, w których powietrze lub woda mają przynosić nieznaną dotąd ulgę cierpiącym wszelkiego rodzaju. Jest naprzykład o 12 godzin od Paryża a o 1½ od Bordeaux, kącik otulony z trzech stron sosnowemi lasami, czwartą zaś przyparty do ogromnego jeziora słonéj wody, utworzonego przez ocean Atlantycki. Przed kilkoma laty była tam dość nędzna rybacka wioseczka Arcachon, lecz skoro specjaliści odkryli że klimat tamtejszy niezmiernie sprzyja piersiom ludzkim, już dziś stanęło miasteczko wykwintne, mieniące się wszystkiemi kolorami tęczy. Jest to bowiem oryginalna mieszanina eleganckich, wiejskich domów, szaletów rozkosznych, z których każdy w innéj występuje szacie. Ten cały biały, ów jaskrawo czerwony, jak dawna nasza cegła toruńska, inny znów kryty szafirowo cieniującym się łupkiem. Te maleńkie cuda wygody i wdzięku, oplatają zielone ogrody, na których piękność rośliny europejskie z afrykańskiemi się złożyły; wszystkie bowiem hodują się doskonale w tym łagodnym klimacie, tak jak to małe pokolenie ludzi, które przez całe lato widzieć można depcące bosemi nogami ciepły piasek nadbrzeżny, tak że Arcachon kolonją dzieci przezywają. Zakład ten łączy z drogą do Bordeaux ogromny gmach podłużny zwany *casino*, zbudowany na wzgórzu, nakształt hiszpańskiéj Alhambry, ale bardziéj we wschodnim guście. Salony kapią od złota i aksamitów, z okien, widok na morze zachwycający, u góry zaś wznosi się pełno wieżyczek, które oświecają wieczorem, podczas kiedy muzyka przygrywa w eleganckim pawilonie. To téż przyjeżdżają tu nietylko chorzy, ale i zdrowi, co pragną zabawić się wesoło, balsamicznėm oddychając powietrzem. U stóp wzgórza mnóstwo wózków czeka na lubowników przejażdżki, aby ich przewieźć w głąb lasu, gdzie wycięto znaczną ilość ulic wysypanych zwirem i utrzymanych tak czysto, jak w ogrodzie. Na brzegu jeziora bujają się lekkie czółenka zdając się obiecywać, że wożąc po chwiejnych falach, ukołyszą do cudnych marzeń wyobraźnię wędrowca, podczas gdy parowe statki świszcząc wołają nań, żeby się gotował na większe, groźniejsze na pełném morzu wrażenia.

Wszystkie cuda téj miejscowości stworzyła po Bogu, czarodziejska rószczka milionów pana Emila Pereiry. Zrobiwszy tyle dla drugich, słuszna że sobie utworzył coś najpiękniejszego. Jego dom wiejski położony na przeciw przylądka Ferret, zamykającego z jednéj strony jezioro od morza, to pałac najświetniejszy którego ogród jest istnym rajem w miniaturze. U nas w Polsce na takie wydatki nie stać pojedynczych przedsiębierców, ale dokonałyby tego stowarzyszenia kapitałów które mają nie małą potęgę działania. I Karpaty, licząc do trzystu źródeł ożywczych, mogłyby się stać drugiemi Pireneami pod względem leczebnym i nawet wabić cudzoziemców, gdyby przynajmniéj istnie-

jące już w nich zakłady, szybciéj postępowały na drodze rozwinięcia. Co za przepaść dzieli młodziuchne Arcachon od Szczawnicy i Krynicy!

Pozostałe w Paryżu osoby kąpią się zapamiętale w Sekwannie. Szkoła pływania jest niezmiernie uczęszczaną. Należy to pochwalić francuzom, że naukę pływania czynią niezbędną w każdéj edukacji tak męzkiéj jak żeńskiéj. Zdrowa to gimnastyka. Lekcje zarówno chłopcom i dziewczynom daje stary marynarz. Całe pensje przychodzą na nie i wesoło jest patrzeć jak dziewięcio lub dziesięcioletnie dziewczynki pluskają po mętnych falach. Ubrane są w szerokie wełniane spodnie pod samą szyję. Niektóre kobiety kładą jeszcze do tego tuniki także wełniane.

Przejdźmy nareście do mód letnich. Przedewszystkiém dla zabezpieczenia zdrowia, szczególniéj panie jadące nad brzegi mórz, zaopatrzyły się w burnusy flanelowe z kapturami mogącemi się zarzucić na głowę, co nie przeszkadza, że wzięły też koronkowe szale i chustki na przypadek wielkiego gorąca. Chustki te ładnie wyglądają podszyte jasną, lekką materją jedwabną, przytém układają się lepiéj na figurze. Sukien fularowych zrobiono bez liku w Paryżu tego lata, jest to bowiem materjał lekki i do podróży wygodny. Z fularu w deseń robią się gładkie spódnice, z gładkiego nieco garnirowane. Naszywają je ukosami dobranego koloru, zakończonemi sutaszem, lub téż krając suknię nieco krótszą, zakończają ją w duże zęby, mniejszemi kanciastemi niby schody, oznaczone zębami, z pod spodu dopiero wychodzi plissa długości spódnicy dopełniająca, zęby zaś od niéj odstając, są oblamowane innym, stosownym kolorem. Do tego bierze się odpowiedni paletocik. Rękawy pozostają stanowczo wązkie; do muślinowych sukien, marszczki na staniku układają się w wachlarz; ścieśnione u dołu na piersiach się rozchodzą. Dużo także używają sukien z piki i niewarowego płótna, ozdobionych guzami z perłowéj macicy. Kapelusze zawsze z płaskiemi główkami, starają się przedewszystkiém zastosowywać do twarzy i każda kobieta ma prawo uważać taki kapelusz za najmodniejszy, w którym jéj najładniéj. Na zebrania wieczorne kładą u wód, tak zwany *chapeau coiffure*; lekkie to, małe, a niezmiernie głowę strojące połączenie ubrania spacerowego z salonowém. Przy niém kładą zwykle kolczyki chińskie, podobne do złotych dzwonków, w środku których widać ruchomą gałeczkę. Zakończymy opisem kilku sukien, które niedawno wyprawiła do Vichy p. Marja Bataillon. Suknia biała muślinowa haftowana włóczką w kolorowe motyle. Na baskinie stanika był w każdym zębie motyl, a na przodzie sześć motyli go spinało. U góry rękawów i na mankiecie równie téż owady rozpościerały swe skrzydełka różnobarwne. Druga suknia była biała jedwabna, obszyta u dołu dwoma niebieskiemi falbankami. Przód cały takiemiż falbankami naszyty w kształcie przewróconéj litery V, wszystkie falbanki zakończone wązką frendzelką białą z niebieskim. Trzecia suknia z białego tarlatanu przeznaczona dla młodziuchnéj osoby, miała u dołu sześć rzędów obszycia *chicorées* z różowego tarlatanu. Są to gęsto fałdowane przez środek falbanki, z wybijanemi po dwóch brzegach ząbkami. Na staniku i rękawach tarlatan biały z różowym gustownie był pomieszany.

M. D.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Ner 1. Przód stanika z przedłużoną baskiną.
„ 2. Plecy — 3. Boczek — 4. Rękaw z klapą odwracaną.
„ 5 — 6. Pantofel kobiecy. Deseń ten wyszywa się na suknie, grubym kordonkiem, ściegiem atłaskowym, w miejscach gdzie się łączą kratki przyszywać trzeba paciorki stalowe.
„ 7. Pantofel męzki wyszyty tasiemeczką, gwiazdki na deseniu zrobione bajorkiem złotym.
„ 9. Bucik dla dziecka. Aplikacja błękitnego tybetu na białéj pice.
„ 10. Wierzchnia część bucika.
„ 11. Podeszewka z irchy ciemnéj.
„ 12. Całość bucika.
„ 13 — 14 — Kołnierzyk i rękawy płócienne szeroko dziergane.
„ 15. do 19. Szlarki do koszul.
„ 20 — 25 — Imiona.
„ 26 — do 37. Cyfry mniejsze i większe.
„ 38. Słup do ornatu. Dla braku miejsca na tablicy daje się tylko krzyż z ramionami, środek zaś słupa należy podłużyć posuwając deseń do długości trzy i pół ćwierci łokcia. Haft cały robi się aplikacją aksamitu karmazynowego i złotéj lamy. Kokardy na deseniu powinny być aksamitne, cieniowane jak na deseniu haftem z ciemniéjszéj filozeli, liście z lamy, kłosy zaś z bajorku. Brzegi kokard oszyte być mogą sznureczkiem jedwabnym tegoż koloru, brzegi liści złotym, ładniéj jednakże jeżeli aplikacja przyszywać się będzie odrazu do tła filozelą, ściegiem atłaskowym.
„ 39 — 40 — 41 — 42. Przód, plecy i boczek do stanika wciętego.
„ 43 i 44. Cyfra i tarcza.
„ 45. Wstaweczka do kaftaniczka.



Compte Calix — Moine et Falconer imp. r. S.t Louis en l'Ile, 90 Paris. — A. Carrache

1119


KÓŁKO DOMOWE

Październik 1864

KÓŁKO DOMOWE

Miesiąc Wrzesień rok 1864.





Plecy №40.
№45.
№44.
Rękaw №42.
№38.
№43.
boczek. №41.
Przód Stanika. №39.